[illegible] Kat. str 336.

RĘKOPISM
MEGO KUZYNA WARJATA.

RĘKOPISM
MEGO KUZYNA WARJATA.

FANTAZJA

PRZEZ

Aleksandra Niewiąrowskiego.

TOM II.



WARSZAWA.

W DRUKARNI JÓZEFA UNGER.

1853

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

W Warszawie d. 10 (22) grudnia 1851 r.

Cenzor.

Tugendhold.

Człowiek jest taki że jak zaczną w niego wmawiać że głupi, to w końcu uwierzy.

Jean Paule *Richter.*

Dwie Marysie
Spotkały się
I mówiły o tem:
e t c.

„Wyjątek z pieśni Ludu."

Druga wybiła na Ratuszowym zegarze.

W pokoju Marji lampa, żółtawe rozwodzi światło — młoda kobiéta, zaniedbana prawie przez męża, którego kochała najczulej... nie śpi jeszcze.

Jéj serce udręcza jakieś bolesne przeczucie — lęka się odgadywać powodu — bo lęka się przypuścić myśli że miłość jéj męża już przeminęła nie powrotnie — bo dla niéj, ta miłość była wszystkiém, a okropnie jest ogołocić się ze wszystkiego! — Napróżno przyzywa tych czarownych wspomnień ubiegłéj przeszłości, co tak zdawała się nieomylnie ręczyć za przyszłość... bo straszliwy niepokój duszy tłumi ożywcze nadziei promienie — Lecz, ze chmur wątpliwości i troski, łagodny promyk pociechy wychyla jeszcze swój blask radośny. Serce Marji jeszcze

nie pozbyło się wszystkiej uludy, w którą je przystroiła miłość i dla tego, choć łzy goryczy płyną po białém, zamyśloném licu, to niekiedy rozwidni je uśmiech zrodzony bez wiedzy—jak kwiat na murawie smętarza!

„To jednak nie podobna! myślała biedna, on kocha mnie jeszcze—tylko jakaś fatalność staje na zawadzie uczuciom jego; tylko życie i towarzystwo tego Alfonsa psuje świetne zarody jego umysłu i okrada z uczuć jego serce — nakoniec, ja sama zawiniłam bardzo— nie staram się dosyć o jego szczęście i jak dziś nawet, przez moją niedorzeczność obraziłam go na siebie... popełniłam *niedorzeczność* tak... on tak nazwał moje wyrazy natchnione jedynie przyjaźnią dla niego — lecz miał słuszność — ja nie powinnam przepisywać mu drogi jaką postępować zapragnie—wszędzie, gdzie on znajduje zadowolnienie, szczęście... tam ja moje widzieć powinnam — dla tego też obowiązkiem moim jest przyznać się do winy i... przeprosić go... jutro... lecz... słyszałam że kazał obudzić się tak rano... zapewnie wyjdzie i znów dzień cały upłynie we łzach i niepewności.... więc uczynię to dziś jeszcze... natychmiast!

I powziąwszy takie postanowienie Marja powstała i... blada, z bijącem sercem — trzymając lampę w dłoni zbliżyła się do drzwi sypialni męża.

. . . .

Walery nie spał jeszcze — nawał wypadków dnia tego, tłoczył się gromadnie w myśl jego i nie dozwalał zebrać ich w punkt jeden, z któregoby można ocenić je dokładnie — nad wszystkie jednakże wrażenia wybiła się wkrótce myśl o nastąpić mającym jutro pojedynku —Walery nie był lękliwym —.nie bał się wypadku spotkania — lecz pamięć na Marję zatruwała mu serce okropną goryczą — jakiś bolesny wyrzut obciążał mu piersi i w téj chwili, czarowna postać Marji... téj ubóstwionéj kochanki młodzieńczego serca, zdawała się patrzyć na niego z łagodnym smutkiem i pytać go gdzie strwonił tę anielską przyszłość jéj życia, którą z taką ufnością w jego ręce złożyła — ta myśl przywodziła go do rozpaczy! — W rzeczy saméj — podobne położenie straszliwą staje się męczarnią! — bo ażeby zdradzić swoje obowiązki, aby wykonać jakiś podstęp — aby zerwać związki uczuciowe

zrodzone na polu zwyczajnych walk towarzyskich... dosyć jest być zepsutym, i mieć słaby charakter—lecz, dopiero ostatni nędznik i samolub opuści bez okropnego ciężaru sumienia kobiétę, która z ufnością wspaniałego serca złoży mu pod nogi wszystkie skarby duszy i silna swoją słabością i poświęceniem odda się cała pod opiekę jego honoru!

Walery pomyślał że Marja była sierotą— że on sam tylko był wszystkiém dla téj młodéj, kochającéj istoty i... łzami zapłynęły oczy malarza — i serce jego w téj chwili przepełnione było miłością dla Marji bardziej jak w najświetniejszych chwilach dziejów ich serc — wyrzucał sobie że tak surowo obszedł się z nią w czasie rozmowy w dniu upłynionym — bo czyliż nie miała słuszności co do Alfonsa? czyliż jéj wyrazy nie były natchnione tém subtelném przeczuciem właściwém niewieściemu sercu, co nigdy prawie nie myli?

—„I jeszcze nie przywitałem jéj nawet przyszedłszy, pomyślał, nędzny samolub! udręczam to biedne serce za to, że za nadto mnie kocha— och, to jest nikczemnie... a ona płakała... tak mówiła Katarzyna... i mnie te łzy nie padły kamieniem na serce! o, dzień dzisiejszy poró-

wnał mnie z każdym mordercą społeczeństwa— i mamże jutro narażać życie w niepewnéj walce bez widzenia Marji... unosząc z sobą jéj cierpienia, gniew a może i wzgardę... nie — pójdę i u nóg jéj będę błagał przebaczenia.... lecz zamilczę o jutrzejszéj rozprawie.... byłoby okrutnie tak udręczać tę biédną istotę... lecz pójdę! . . . .

I Walery powstał—włożył szlafrok i zbliżył się do drzwi prowadzących do pokoju żony.

W téjże chwili drzwi te otworzyły się i na progu ukazała się Marja z lampą w dłoni.

. . . . . . Jedna chwila! . . . .

Walery i Marja byli w tak zgodném usposobieniu umysłów i serc, że w jedném spojrzeniu odgadli wzajemne chęci.

— Marjo!

— Walery!

I lampa z trzaskiem upadła na podłogę i zgasła.

— Kto tam, kto tam?— zawołała Katarzyna obudzona łoskotem.

. . . . . . Cichość . . . .

— Przeklęte mysiska! oj, żeby tylko pani nie bojała się kota, dałabym ja wam!

Marja spłakane łzami szczęścia oblicze oparła na piersiach Walerego.

Katarzyna przewróciła się na lewy bok do ściany.

Na świecie same kontrasty!!!

„Jaskółka zwiastuje i Wiosnę i Burzę— raz to, znów owo — ojczyzną tego ptaka — jest Błoto;"

— Psychologiczne oblicze historji naturalnej.

Około godziny jedenastéj — Alfons znajdował się w swojém mieszkaniu, które łączyło się z pokojami zajmowanemi przez pana Fühla.

Alfons ubrany już zupełnie leżał na niskiéj, zielonym adamaszkiem pokrytéj berżerce.

Oczekiwał przybycia Walerego.

„Za chwilę przybędzie, pomyślał, oh, gdyby nie wola tego szatana Fühla, któremu mój los prześladowczy rzucił mnie na pastwę... jakżebym chciwie ubroczył me dłonie we krwi tego nędznika co śmiał wznieść na mnie swą rękę — jednakże, miejmy cierpliwość — przyjdzie chwila wkrótce, że będę panem moich czynności... nie długo... a wtedy! zemsta moja będzie straszliwa i będę zadowolniony,... lecz, cóż przedsięwezmę potém? bo dajmy, że już posiadam

te wszystkie skarby za któremi uganiam się od tak dawna, którym zaprzedałem całego siebie — cóż pocznę z niémi? zadowolniąż one me chęci? czyliż zapłacą mi wszystkie cierpienia, jakich doznałem od czasu gdy zrujnowawszy majątek moich przodków przez zbytek i rozpustę, zapragnąłem odzyskać go poniżeniem?... lecz, za daleko już zabrnąłem w tę sprawę — wracać nie podobna! trzeba postępować naprzód odważnie, a jak skończy się to wszystko... wtedy, dwa cele rozwiną się przedemną — zemsta dla Fühla, któremu zdaje się że można znieważać bezkarnie potomka starożytnéj rodziny jemu!... poganinowi osypanemu zrabowaném złotem... a potém — oddam się na czas długi téj namiętności, jaką wzbudziła we mnie ta czarnooka dziewczyna, któréj rysy przypominają mi Zelję... Zelję, któréj posiadania byłem tak bliski... o, Fühl, ty mi drogo zapłacisz za śmierć twéj córki.... zbrodniarz! własne dziecko... to okropnie!... A Emilja? posiadaż ona i duszę téj do któréj ciałem tak podobna.... nie wiem — lecz zdaje mi się że przewyższa ją nawet — w rysach téj szczególnéj kobiety istnieje jakaś nie wytłumaczona sympatyczność która pociąga mnie do niéj niewolniczo... A z jakąż dumną godnością przy-

jęła mnie wtedy gdy malarz wprowadził mnie w dom jéj... zdawała się dziwić śmiałości mojéj... i jakże piękną była w swéj dumie... jakże roskosznie wyglądać musi to wyniosłe czoło gdy czułość rozwiedzie na niém tęskny urok marzenia... oh, nie zapomnę nigdy jak drżałem z obawy podczas ślubu malarza, bo rozumiałem przez chwilę że to Emilja jest przedmiotem chęci przeklętego Jussufa... lecz... mówił mi Walery że ona ma kochanka... i to jest ten Władysław, którego dwa razy widziałem u niéj... podług tego co o nim słyszałem, ma to być człowiek genjalny! ba! ba! teraz genjusze warstwami pływają po oceanie ludzkości... jak śledzie naprzykład.

Wybiła jedenasta.

Otóż, wkrótce przybędzie mój przeciwnik — precz odemnie myśli osobiste — teraz poświęcać się potrzeba — zapłacone to poświęcenie... więc trzeba je oddać kupcowi, jak towar — w dobrym stanie.

— „Pan Walery... rzekł wchodzący lokaj.

— „Prosić

. . . .

Walery wszedł.

Wyraz jego twarzy zmienił się prawie w ciągu ubiegłej nocy—znikło z niéj piętno niepewności i poniżenia z którém walczył od dni kilku — jakaś łagodna wspaniałość — jakieś szlachetne uczucie godności błyszczało na bladém licu artysty.

— Dzień dobry panu, wyrzekł, lekko skłoniwszy się Alfonsowi, który powstawszy, wpatrywał się w oblicze malarza z wyrazem smutnego pokoju.

— Przepraszam pana, mówił Alfons, wskazawszy krzesło Waleremu, przepraszam najmocniéj, że poważyłem się utrudzać go...

— W sprawie o życie lub śmierć, odpowiedział poważnie Walery, nie zwracam uwagi na drobnostki ceremonjalne... i dla tego, chciéj pan wierzyć że obojętném znajduję czy ja lub pan ustępujemy cóś z przyjętéj etykiety w rozprawach tego rodzaju.

— Jestem również pańskiego zdania — przedewszystkiém jednakże... raczyż pan wysłuchać mnie...

— O cóż idzie?

— Sądzę, że pan nie lękasz się walki?

Walery zarumienił się lekko i prędko wyrzekł, nie wiem jaki związek może mieć zapytanie to

ze spotkaniem jakie nas oczekuje, lecz wątpliwość podobna rostrzygnie się wkrótce... z resztą, wybaczam ją panu, przybywasz z bardzo daleka...

— Oh, pytałem dla tego, że chciałbym mieć pewność że pan ze swojéj strony nie uważasz mnie za lękliwego...

— Bynajmniéj, lecz...

— Pozwól pan, przyrzekłeś wysłuchać mnie.

— Walery skłonił głowę w milczeniu.

— Czy żona pańska...

— Uprzedzam pana, że imię mojéj żony nie powinno być wymieniane tu, przez pana, po tém wszystkiém co zaszło.

— A jednakże, muszę przeciwić się zakazowi pana, mówił Alfons, i błagam cię raz jeszcze wysłuchaj mnie cierpliwie...

— Słucham pana.

— Domyślasz się pan zapewnie że aby ofiarować komuś tak wielką summę jaką wczoraj mu...

— Dosyć tego panie!...

— O, nie unoś się pan — to co chcę mu obecnie powiedzieć, wynika z zamiarów czystych, szlachetnych i każdy człowiek honoru może wysłuchać podobnego usprawiedliwienia...

— Usprawiedliwienia?... i to pan... nie rozumiem.

— Mówiłem panu że aby ofiarować podobne rzeczy, trzeba być pod wpływem silnéj żądzy dla kobiéty, któréj posiadanie takiém narażeniem i takim kosztem się opłaca... pozwól pan! — teraz ja przysięgam panu na honor, na grób mojego ojca! że nigdy serce moje nie biło na widok żony pańskiéj i że nigdy nie powstała w myśli mojéj chęć znieważenia jéj... ani pana...

— Lecz... dla czegóż więc, przerwał zdziwiony Walery... dla czegóż pan śmiałeś wczoraj,..

— Jeszcze nie skończyłem — ażebyś pan pojął pobudki skłaniające mnie do tego kroku... trzeba ażebyś zrozumiał człowieka przeżytego zupełnie... Od najpierwszéj młodości, swobodny, bogaty i znakomitego rodu... otoczony byłem wszystkiém czego tylko chęć człowieka zapragnąć może... żyłem też zadowalniając te chęci — serce moje poznało wkrótce całą próżnię i nicość nikczemnych zadowoleń zmysłowych.... postanowiłem odżywić duszę moją w czystym zdroju poświęceń i użytecznych czynów... jednakże... nie umiałem pójść w tym razie zwyczajną drogą, pragnąłem otoczyć moje

postępki jakąś szatą oryginalności... dla tego, od chwili przeistoczenia się moich wyobrażeń, starałem się badać ludzi.... i jeżeli znalazłem ich godnemi pomocy, wtedy, niszczyłem z roskoszą i dumą przeszkody jakie los wybudował na drodze ich życia... przybywszy tutaj... poznałem pana... w ciągu krótkiej znajomości naszéj, poznałem cały stan twego umysłu... wiedziałem, że artyście, człowiekowi wyższéj sfery, jak pan, potrzeba ukształcenia do którego drogę zamknął ci niedostatek — lecz zanim zniszczyć tę przeszkodę chciałem przekonać się poprzednio o twoim charakterze — wyznam panu, że początkowe badania zasmuciły mnie — uważałem że gotów byłeś poświęcić sumienie zamiłowaniu sztuki — jednakże, wątpiłem — i dla tego postanowiłem odważyć się na stanowczą próbę — ofiarowałem ci wszystko cokolwiek osobiste chęci samoluba zadowolnić może... lecz na ścieżce nabycia tego, położyłem poniżenie — wiemy obadwa jak pan przyjąłeś moje warunki... znieważyłeś mnie!

— Lecz, panie...

— Jeszcze chwila! przyznaję, że w pierwszéj chwili nie byłem panem siebie — obelga w ten sposób wyrządzona kazała mi zapomnieć że to ja sam wywołałem ją właśnie i dla tego żąda-

łem od pana zadosyć uczynienia — teraz, przyznaję że nie miałem słuszności i gotów jestem podać panu rękę, jeśli uznasz moje postępowanie godnem tego zaszczytu....

Walery zdziwiony poglądał na hrabiego — lecz taka szczerość malowała się w twarzy Alfonsa, w głosie jego tyle było prawdy i wzruszenia, że serce malarza uległo przebiegłości hrabiego — ścisnął podaną rękę i rzekł wzruszony...

Przebacz pan, lecz ja... nie mogę zdać sobie sprawy z tego wszystkiego — nie lękałem się walki, lecz z radością widzę podobne jéj rozstrzygnięcie.... mam żonę którą ubóstwiam i która bezemnie zostałaby samą na świecie.... dla tego każdy wypadek spotkania naszego, ze względu na prawa krajowe byłby dla niéj najsmutniejszym — teraz, ja zapewniam pana że całe życie wyrzucać sobie będę popędliwość moją — chciéj wierzyć, że kosztem krwi mojéj chciałbym naprawić to co uczyniłem.

— Podam ci sposób wynagrodzenia mnie zupełnego.

— Rozkazuj pan! honorem zapewniam że wykonam wszystko.

— Dziękuję panu — przedewszystkiém... więc proszę cię, chciej być moim przyjacielem!

— Panie!

— Nie tak — pragnę jeżeli pozwolisz aby ustały między nami czcze grzeczności — chcę, byś pozwolił uważać się jak brata...

— Alfonsie!

— Dziękuję ci Walery, dziękuję! lecz to jeszcze nie wszystko... to co ucierpiałem w tém zajściu, dodał hrabia z lekkim uśmiechem, wypłynęło z chęci wprowadzenia cię na drogę właściwą twoim zdolnościom — dla tego pragnę, abyś nią szedł teraz — otóż, potrzebuję mieć kopje sześciu z tych obrazów które widziałeś u mnie — czy zechcesz mi je wykonać?

— Z ochotą! lecz będziesz pobłażającym.

— Zupełnie — jednakże wymagam starannego wykończenia — ofiaruję ci za to po pięćdziesiąt tysięcy za sztukę czyli razem trzykroć sto tysięcy złotych.

— Lecz, Alfonsie... czyliż?...

— Oh, nie przerywaj mi... jesteś pod moją władzą, przyrzekłeś mi żadosyć uczynienie honorowe — a teraz, uściskaj mnie mój przyjacielu!

I dwaj młodzieńcy rzucili się w swoje objęcia.

Smutno, gdy serce szlachetne, wzniosłe,
Na chlubę świata i ludu wzrosłe
Błazeńską szatę przywdziewa.

Śmieszno! gdy dusza brudna i podła,
W świętego smutku stroi się godła,
I łzy kłamane wylewa.

* *

. . . .

Rzęsiste światło kinkietów i żyrandoli ojaśnia sale redutowe — muzyka gra najnowsze walce lub mazurki lichych kompozytorów — tłumy młodzieży otaczają licznie zastawione bufety, przy których uwijają się skrzętnie posługacze gastronomji — kostjumów jeszcze nie wiele....

To maskarada.

. . . .

Żółtawe światło drga w duszącej atmosferze — pstre tłumy masek, powolnym ruchem przesuwają się fantastycznie przy dźwiękach hałaśliwéj muzyki. — Zamęt — chaos — pisk — śmiechy i westchnienia — łzy i szyderstwa zmięszane, pły-

wają po szklistej sali — rzekłbyś, że ktoś mnóstwo oberwanych kwiatów posypał na powierzchnią jeziora...

. . . . . I to maskarada . . . . .

. . . .

Ukazują się napuszone fizjognomje Bąków salonowych..... połyskują tłuste dobrodusznych głupców policzki — przesuwają się zżółkłe rozpustników twarze i, gdzie nie gdzie, jaśnieją wyraziste aniołów oblicza — a w tym tłumie.... serca... niby muszle, jedne zamknięte i pełne drugie otwarte i puste; — w jednych, drga zaciśnięte życie — drugie.... przydadzą się dobrze do.... jaj faszerowanych!... I jedne usta nie szczerym ojaśnione śmiechem sypią wyrazy dowcipu — lub szaleją wesołością udaną — a w tym śmiech znajdziesz i gorzkie szyderstwo z własnej rozpaczy co w głębi serca cięży kamieniem; i obłąkanie rozumu co stargawszy siły w śmiertelnej walce — śmiechem zakrywa krwawe rany... i jak starożytny gladjator chce skonać w pięknej postawie!... i drugie znów usta, westchnieniem wydymają tłuste wargi, i oczy stroją w ponure smutku wejrzenia — a westchnienie i smutek

fałszywe — błazeńskie — wyglądają na ich twarzach jak... wieniec cierniowy na worku napchanym kaszą.

I to jeszcze maskarada!

. . . .

— Władysławie!

— A, to ty! wszakże to wieki upłynęły jak niewidziałem ciebie — znikłeś zupełnie z widowni towarzyskiej.... cóż ci się stało Walery?

— Raczysz żartować! zdaje mi się, że z dziesięć dni temu byłem u ciebie....

— A tak — w przed-dzień twego pojedynku— Jakże się to wszystko skończyło? — ciekawość mnie pożera....

— Oh, tysiąc zmian — a same cudowności.

— Ba!

— Ani uwierzysz — wyobraź sobie, że na tem wszystkiem zarobiłem wiele, nic nie tracąc.

— Jakże to?...

. . . .

— Hm, hm!, mówił Władysław, gdy już Walery skończył opowiadanie zaszłych między nim a Alfonsem wypadków — nie mogę pojąć tego wszystkiego i to ja, nie mogę!

— Bardzo wierzę, gdyż ja sam często nie umiem sobie wytłómaczyć....

— Albo, przerwał Władysław, albo twój hrabia jest człowiekiem olbrzymiej cnoty i gienjalnych pojęć, albo...

— Albo?...

— Najzręczniejszym oszustem!

— Jako?... sądziłbyś....

— Ja nic nie sądzę — gdyż w téj sprawie nic pewnego wyrzec nie można — lecz czas sam odkryje, jakiego rodzaju powody skłoniły go do tego postępku... a w każdym razie, radzę ci szczerze mój Walerku „miéj się na baczności.“

— Eh, przesadzasz jak zawsze — wiesz, że czułbym się poniżonym, gdybym śmiał posądzać Alfonsa o taką podłość — nakoniec, jakież mógłby mieć rachuby? Moja żona kocha mnie — nie cierpi hrabiego — więc pod tym względem nadzieje stracone — a gdyby chciał istotnie inną drogą zyskać to, co stracił przez odmówienie pierwszéj jego propozycji to sądzę, właściwiéj byłoby.... starać się przywieść mnie do nędzy i korzystać z natchnień rozpaczy — gdy tym czasem dziś... Eh, mylisz się najzupełniéj.

— Być może — chociaż ten pan nie podoba mi się zupełnie.

— Nie znasz go.

— To jest znam i nie znam — lecz widziałem go kilka razy u Emilji.

— U Emilji?

— No, przecież ty sam wprowadziłeś do niéj hrabiego.

— Ah, prawda! zapomniałem.

— Istotnie?...

— No, przecież nie sądzisz, że chcę swatać Emilję z Alfonsem.

— To dla mnie obojętne — jednakże powiem ci serjo, że jeśli nie uwodzi mnie moja przenikliwość — to hrabia ma jakieś zamiary względem mojéj protegowanéj poetki. — Być może, kocha ją.

— Oh! gdzież tam! nie znasz go wcale, ten człowiek nic nie robi dla siebie — i ręcząm cię, że jedynie talent Emilji wzbudza zajęcie Alfonsa, nawet jestem pewny, że Emilja skorzysta na téj znajomości.

— Do licha!

— Jakżeś podejrzliwy....

— To lepsze jak łatwowierność.

Ale, ale, przerwał Walery, chcąc inny obrot nadać rozmowie — moja żona zagniewana jest na ciebie śmiertelnie!

— I czémże ściągnąłem na siebie to nieszczęście?...

— Utrzymuje — że zaniedbujesz ją — nie odwiedzasz nas wcale — a Marja, wierz mi, czuje serdeczną sympatję dla ciebie.

— Zaszczyt mi przynosi uprzejma dobroć twéj żony — lecz w tych czasach jestem bardzo zajęty i niepodobna mi było wybrać się.

Oh, sądziłby kto że na koniec świata — czy piszesz co nowego?

— Bazgrzę powiastkę!

— Prędko skończysz?

— Sam nie wiem.

— To jednakże nie usprawiedliwia cię wcale — ja także jestem obecnie zapracowany na śmierć wykonaniem tych kopji... a jednakże znajduję czas....

— Ślicznie! nie byłeś u mnie od wieku... ale, w istocie czuję się winnym i jutro nie omieszkam....

— Tylkoż nie przychódź do dawnego mieszkania.

— Zmieniłeś *lokal?*

— Tak jest — i oto adres.

— Krakowskie - Przedmieście, ba! to pachnie krociami — zapewnie trzymasz kucharza, lokai?...

— Istotnie.

— W takim razie zapraszam się jutro na obiadek do was.

— Serdecznie wdzięczni będziemy.

— O któréjże jadacie?

— O czwartej, piątéj....

— Dobrze — czy twoja żona obecnie jest w domu?

— Przeciwnie, jest tu.

— Tu — i gdzież więc? Komuż powierzyłeś domowe bogi twoje, młody Greku — strzeż się! to niebezpiecznie tak zaniedbywać młodą i ładną kobietę.

— Bądź spokojny, wieczysty szyderco — moja żona jest w loży.

— Czy widowisko zaczęte?

— Trąbiono — ale uważajno tego pajaca, widzisz nos?

— A wiesz, że nos nieśmiertelny! ale, ale, zaprowadźże mnie do żony — chcę złożyć pani moją czołobitność.

— Z ochotą, pójdźmy.

. . . .

— Ty! zostaniesz ze mną, ozwał się nagle głos stłumiony i ręka odaliski w bogatym wschodnim stroju oparła się na ramieniu Władysława.

— Z tobą! ależ, ładna maseczko, czy nie możnaby błagać twoich pięknych oczu o chwilkę zwłoki...

— Ani jednéj minuty — racz uważać się za mego niewolnika przez czas jakiś.

— Jesteś nadzwyczaj absolutną w twoich rozkazach.... cóż nadaje ci podobne prawo i to nademną?

— Ty sam i przeznaczenie!

— Ha! to coś bardzo tajemniczo — lecz, lubię tajemniczość, ja samotnik młody, zwłaszcza jeżeli ma tak czarujące spojrzenie i tak zachwycającą figurkę.. Bądź zdrów Walery! później przybędę do was — który numer loży?

— Siódmy.

— Dobrze... a teraz, jestem na twoje rozkazy, wszechwładna hurysko!

— Odaliska podała rękę Władysławowi.

— Dokądże idziemy?

— Czy zawsze masz pewną odpowiedź na podobne pytanie, w drodze, którą prowadzi cię życie twoje?

— Być może, tak, być może, nie — lecz choćbym i nie znalazł wtedy odpowiedzi, to muszę iść tą drogą bo nią prowadzi *życie!* a ty?...

— Ja jestem również *życiem* dla ciebie *umarłego.*

— Lecz pozwól mi sądzić że ja żyję jeszcze i moralnie i... fizycznie.

— Ciało twoje, głowa twoja, myśl... żyją, lecz serce twoje umarło!

— Chceszże je wskrzesić, maseczko?

— Być może.

— I sądzisz, że przyjdzie ci to z łatwością?

Odaliska schyliła głowę — Władysław usłyszał jej westchnienie.

— Pytałem, czy jesteś pewną swych sił ożywiających?

— Co do Ciebie?... Nie!

— Lecz chcesz próbować?...

— Tak!

— Chciałbym dopomódz ci z całej duszy — powiedziałbym, z całego serca, lecz że umarli nie czują...

— Szydzisz ze mnie — strzeż się!

— Grozisz mi? A czy wiész że groźba jest nadzieją w tak pięknych ustach — bo jestem przekonany że masz prześliczne usteczka... czy ja znam ciebie?...

— Nie!

— Wcale? i... nie widziałem cię nigdy?

— Nie — lecz śniłam się tobie.

— Kiedyż?

— Wczoraj.

— Oh skłamałaś hurysko moja! Wczorajszą noc przepędziłem bezsennie.

— Wiem o tém — lecz.... życie duszy jest snem ciała....

— Ale... dajmy, że moja somnambuliczna dusza spała także?...

— Nie — pisałeś wczoraj, wzniosły marzycielu!

— Więc ty mnie znasz?

— To jeszcze nie dosyć.

— Cóż więcéj?...

— Kocham ciebie!

Ręka odaliski zadrżała, a głos jéj był wzruszony.

Władysław spojrzał na nią uważnie i zamyślił się.

— O czém myślisz?

— Myślę — że gdybym mógł przeniknąc maskę, co kryje twarz twoją — gdybym z oczu twoich dojrzał, że powiedziałaś prawdę, to... powiedziałbym...

— Cóż?

— Że żal mi ciebie!

Władysław i odaliska weszli w téj chwili w korytarz otaczający loże pierwszego piętra— publiczność była zebrana bądź w teatrze, bądź w salach i foyer — na korytarzu było pusto.

Słuchaj mnie, rzekła nieznajoma, z gorączkowém wzruszeniem, chwytając rękę Władysława — powiadasz — że chciałbyś przeniknąć maskę moją?...

— To niepotrzebne.... gdyż teraz poznaję ciebie.

— Ty! niepodobna — nie *znasz* mnie.

— Czémże zaręczysz?

— Przysięgam ci na honor méj matki, nie *znasz* mnie!

— Ha, więc pomyliłem się — lecz pozwolisz mi poznać twarz twoję?

— Nie — lecz daj mi ten kwiat — i wyjęła narcyz zatknięty w klapę surduta Władysława— gdy będę chciała abyś mnie poznał - pokażę ci ten kwiat...

— Zwiędnie...

— Wspomnienia nie więdną — kwiat ten świeży czy zwiędły będzie tylko wspomnieniem.

— Słuchaj mnie pani, rzekł poważnie Władysław, jeżeli istotnie mnie kochasz to staraj

się zabić w sobie to uczucie... gdyż ja kochać nie mogę... mnie niewolno kochać!...

— To próżne, fałszywe słowa — rozumiem ciebie — ty lękasz się pokalać uczuć twoich wysokich miłością samolubną — lecz czyliż sympatja dwóch serc szlachetnych jest egoizmem — wszakże tę sympatję natura wlała, miłość nie może być błędem, bo jest cnotą a cnota jest zawsze jedną — ty nie wiesz co znaczy miłość, jaką ja ofiaruję tobie — bo też nie ma drugiego serca, co by ją tak pojęło jak moje... Miłość moja *dla ciebie*?... to życie przez ciebie i w tobie! — to szlachetna żądza rozjaśniania twego czoła, gdy je smutek pochmurzy — to chęć ukształcenia w bóstwo czystych dusz naszych... Miłość moja dla *mnie?*... to jedyna przystań dla samotnego serca... to chęć wsparcia na twoich piersiach sierocego czoła... bo jestem samą na ziemi... sierotą!

— Biédna!

— Jesteś wzruszony — o, dziękuję ci, dziękuję.!

I szybko pochylając się odaliska usunęła maskę, a Władysław uczuł jak pałające jéj usta dotknęły jego ręki.

. . . W tej chwili tłumy masek zapełniły korytarz — widowisko skończyło się w teatrze — odaliska zniknęła w kole masek. — Władysław napróżno przedzierał się przez napływający tłok — nie dojrzał już tajemniczéj maski.

. . . .

Pół godziny upłynęło — Władysław wzruszony błądził po salach upatrując chciwém spojrzeniem swéj nieznajoméj kochanki — lecz nie znajdował jéj nigdzie.

Zapewnie oddalila się zupełnie, pomyślał — szkoda! nigdy jeszcze słowa kobiety nie wywarły na mnie takiego wpływu — nigdy nie słyszałem głosu tak przejmującego... a głos ten tak mi się zdawał podobnym do...

— Ah, zdrajco! przecież cię znajduję — zawołał Walery, wstrzymując zamyślonego Władysława — także to przybyłeś do nas?

Walery prowadził z sobą hrabiego Alfonsa. Przebacz mi odrzekł Władysław — lecz byłem zajęty...

— Ach, ta piękna odaliska — jakże pod maską? Ładna?

— Nie wiem!

— I puściłeś ją?

— Przed kwadransem.

— Znajoma?

— Nie wiem!

— No mniejsza! ale przepraszam panowie nie znacie się... Władysław * — Alfons de... pragnąłbym abyście się poznali i kochali.

— Z roskoszą poznaję pana, rzekł Alfons, ściskając rękę Władysława.

— Grzeczność pana hrabiego jest moim obowiązkiem, rzekł zimno Władysław.

— Miałem już przyjemność widzieć pana u panny Emilji *.

— Tak — zdaje mi się, że miałem zaszczyt spotykać tam pana.

— E skończcież już te ceremonje! Wiecie co wam powiem?

— No!

— Ta atmosfera wycieplona trawi okropnie i... jestem głodny!

W takim razie — proponuję panom kolację u mnie, rzekł Alfons — mam arcy-dobrego kucharza

— A gdzież twoja żona, Walery?

— Oho! podczas gdyś zachwycał się twoją tajemniczą huryską — odwiozłem Marję do domu.

— No, panowie, idziemy!

Taki jest dziwny organizm człowieka, że nawet w chwilach rozpusty budzą sie niekiedy w umyśle uwagi moralne.

Z. Jobsohna.

— O cóż więc idzie — rzekł ziewając pan Fühl?

— Spałeś pan?

— A cóż mam robić w tém mieście? — tu niczém się nawet znudzić podług chęci nie można — a ty, mimo to wszystko pobierasz twoją pensję, mój zacny dostawco przyjemności życia — czegóż chcesz teraz... przebudziłeś mnie... a śniła mi się Marja!

— Przychodzę zamienić twoje sny w rzeczywistość, panie hrabio.

Fühl porwał się z sofy i drżący zbliżył się do Alfonsa... co mówisz? powtórz mi!

— Powiadam panu, że dziś przychodzę wypełnić moje przyrzeczenie.

Pan Fühl pobladł nagle....

— Dziś... ty... nie zwodzisz mnie?... nie śmiałbyś uczynić tego... dziś będę posiadał Marję?... Marję — kochającą mnie?... oddaną mi zupełnie?...

— Tak, lecz pomnij pan na warunek.

— Jaki?

— Przez godzinę tylko — krócej nawet.

— O, niech przez jedną chwilę... jedna chwila będzie rajem do którego od kolebki oczy moje tęsknią, a bramy jego na wieki zawarte przed niemi. — Czy ty pojmujesz... co to jest żądza człowieka, który może złoto rozrzucać jak piasek, a który nie może, nie może! zadowolnić jedynéj, najsilniejszéj namiętności, bo jéj kupić niepodobna! — lecz mów, co mam czynić?

— Przedewszystkiém ubierzesz się pan w suknie znajdujące się w tém pudle — nie odrzucając nic — pojmujesz pan?

— Dobrze!

— Lecz, nie potrzebujesz spieszyć się — o jedenastéj w nocy dopiéro wyjdziemy — może nawet później cokolwiek.

— Cóż potém? musiałeś użyć jakiegoś piekielnego podstępu?

— Już to, pojmujesz pan że Marja *istotnie* nie kocha pana — bo *istotnie* nie widziała cię

nigdy — domyślasz się więc że będziesz zastępował kogoś — którego ona kocha najczuléj, najnamiętniéj... słowem, jéj męża.

— Lecz jeżeli mnie pozna... lub jeżeli mąż nadejdzie? pamiętaj, że nie potrzebuję i nie chcę narażać się na skutki któreby wplątały mnie w stosunki prawne.

— Nie przyjdzie do tego — bądź pan spokojnym — mąż wié o wszystkiém i zezwala na wszystko.

— Czy podobna? ha, więc i tutaj ludzie tacy jak wszędzie... przedajni i nikczemni! zapłaciłeś mu zapewnie, lub obiecałeś zapłacić.

— Bezwątpienia, dałem mu *a conto* sto tysięcy franków, a przyrzekłem dać dziś o jedenastéj...

— Ileż? ciekawym jak wysoko oszacował swój honor, za którym tak groźnie ujmował się niedawno.

— Dosyć drogo — zaledwie przystał na 800,000 franków.

— Ośm kroć sto tysięcy franków! na honor! niezmierna cena za tak lichy towar....

— I czy pan hrabia uwierzy, że wahał się długo — dopiéro ostatnia potrzeba zmusiła go do tego... bo ci młodzi ludzie ubóstwiają się

wzajemnie! pomyśl więc pan jak dziś będzie przyjęty przez Marję jéj ukochany małżonek w osobie pańskiéj.

— Oddałbym wszystko co posiadam gdybym mógł od dziś na zawsze przeistoczyć się w tego człowieka — szczęśliwy! oh, jakże mu zazdroszczę... i... aż do jedenastéj mam czekać!

— Późniéj może — prędzéj — niepodobna — liczymy coś także i na senność pani — zresztą ja pana dokładniéj poinformuję w drobnostkach.

— Słusznie — lecz... służący ich?

— Oddani nam zupełnie.

— Dobrze — słuchaj panie Alfonsie! dajesz mi roskosz o jakiéj marzyć tylko mogłem — wprawdzie ta kobiéta nie kocha Fühla — lecz ty wywiązałeś się z przyrzeczenia dosłownie—gdyż istotnie ja *będę przekonany* że w ciągu kilku chwil jéj miłość będzie szczerą, jéj pieszczoty prawdziwe — oto są twoje miljony — lecz oddam ci je dopiéro u drzwi sypialni Marji... choć wierzę że mnie nie oszukujesz, gdyż lękałbyś się...

— Bądź pan spokojny i przekonany, że postępowanie moje z nim było zawsze szczere choć nie bezinteresowne.

— Oh, nie zawsze! oszukiwałeś mnie — pamiętasz — w czasie pobytu w Indjach.

— Cóż takiego?

— A — bałamuciłeś mi Zelję... chciałeś ją porwać...

— Milcz pan, na Boga!

— Zadrżałeś jak koń na widok pożaru — więc ty kochałeś Zelję?...

— Przestań panie, przestań!

— I ja o tém nic nie wiedziałem — szkoda! czemuż nie oświadczyłeś się ojcu o jéj rękę? — toby mnie było zabawiło więcéj jak te wszystkie głupstwa, któremi zatrudniałeś mnie bez ustanku wmawiając w ziewającego z nudów że bawię się wybornie! — no — lecz spostrzegam że zakrwawiłem twoje czułe serce wspomnieniem przeminionych dni sympatycznych uczuć... popadasz w stan zadumy i melancholji, a to przeciwia się *sytuacji* w jakiéj obadwa dziś jesteśmy — więc przestaję! — Nam dziś sił i wesołości potrzeba! — gdzież się udamy, jak przepędzimy czas?... no powiedz! bo ja nie lubię zajmować się tém wszystkiem — ja... myślę tylko o Marji — żyję jéj obrazem — upajam się nadzieją posiadania jéj! — no, cóż postanowiłeś?

— Ja? dziś zaledwie pare godzin mogę towarzyszyć panu.

— Z powodu?

— Będę pilnował męża i jego sumienia żeby się nie przebudziło — dla tego wkrótce opuszczę pana i dopiéro o jedenastéj przyjdę zabrać go z sobą.

— Ha co czynić! dziś jestem twoim niewolnikiem — rozkazuj a stanie się.

Zbliża się zbliża już stanowcza chwila.

Tegoż dnia wieczorem Władysław i Walery wsiedli do powozu Alfonsa który oczekiwał na nich przed bramą mieszkania Władysława i pojechali w kierunku ulicy *Długiéj.*

— A czy nie będzie zawcześnie, rzekł Władysław, niedbale wyciągając się na miękkich poduszkach powozu.

— No, że ja jadę na ten zaimprowizowany balik orjentalny, jak go nazwał hrabia, to jeszcze nic dziwnego — ale ty, człowiek żonaty,... wstydź się dobrodzieju!

— A toż czemu?

— Ba, ba, udajesz niewiniątko — wszakże z programu téj uroczystości można domyślić się łatwo jéj treści... Alfons mówił, że to będzie zabawa w guście wschodnim — a wiesz przecie że

wschód to już tak jakoś bez odalisek obejść się nie może.

— Ha, i cóż czynić — przecież mnie nie zjedzą.

— Zjeść, nie! — ale... ale... wierność małżeńska kto wie czy nie będzie pożartą przez jaką Messalinę naszego dobrego miasta, przebraną po turecku.

— Nie sądzę, aby która z nich potrafiła zająć mnie — bo wyznam ci, że czuję się zakochanym w mojéj żonie i gdyby nie konieczne nalegania Alfonsa, wolałbym siedzieć w domu niż nudzić się na téj Orgii świeżo skomponowanéj, któréj zresztą nie pojmuję celu...

— O, chciałeś, żeby wszystko miało cel.

— Aprzecież to twoja zasada.

— Tak, lecz cel nie koniecznie ma być przybity jak szyld na wierzchu.... i tu być może cel... ukryty...

— Który odkryć zamierzasz — dodał żartując Walery.

— Ha! nie wyrzekam się niczego — jestem wolny — a prócz tego mam słabość do takich wszystkich nadzwyczajności i dałbym chętnie stary zegarek po ś. p. moim ojcu półkowniku od ułanów, gdybym mógł znaleść śród oczeku-

jącego nas haremu, moją tajemniczą odaliskę z ostatniej maskarady.

— Także? no, sądzę że dodałbyś i pendent od jego szabli...

— Nie dobrodzieju — za sto odalisk nie oddałbym — żałuję nawet że żartowałem z zegarka starego pułkownika—biedak, umarł z ran, a ten pałasz do ostatniej chwili w jego spoczywał dłoni — ten zegarek bił na jego sercu gdy ono już bić przestało... wiesz, że to dziwna fatalność ścigała moich przodków — dziad, ojciec i stryj, wszyscy polegli na placu honoru... a ja... dziecko żołnierskie... niestety! piórkiem dobijam się sławy!

— Sądzę, że to najpiękniejsza sława — wolę greckie posągi niż ich zwycięstwa.

— Niechże i tak będzie — w istocie nadto poważną kwestję rozwijamy przed zabawą jaka nas oczekuje.

— To zawsze dobrze — w podobnych rzeczach mieści się owa harmonja kontrastu, którą ja jako malarz i zwolennik monotrematu nadzwyczaj lubię.

— Ja, jako Djalektyk jestem również za nią... ale, daleko jeszcze jedziem?

— O, w tym hotelu — hrabia zajął całe piętro.

— Brawo!

Powóz zatrzymał się.

———

— Melancholik.

— I na grobie rosną kwiaty!

Sceptyk.

Przechadzałem się po cudnym ogrodzie, podziwiałem przepyszną roślinność jego i kiedy w zachwyceniu przyglądałem się krzakowi róż bengalskich .. spostrzegłem czołgającego się u stóp rośliny—Węża.

— Eklektyk.

Moi bracia — na świecie wszystko jest *złożone* — nigdzie nie ma jedności—wszak w lewej ręce trzymając Ewangelję... prawą mogę co ukraść.

— Filozoficzna Trilogja.

Z rozkazu Alfonsa całe pierwsze piętro obszernego domu, przystrojono z wyszukanym smakiem — kilka wielkich sal zastawiono kosztownemi roślinami, zostawując tylko ścieżki śród kwiatów tak, że całe to mieszkanie zamieniło się w ogród cudowny. — Ogromne drzewa pomarańczowe i cytrynowe, aloesy i wielkie oleandru drzewa okwiecone w białe bukiety, a wszystko oświecone kolorowém światłem pozawieszaném śród kwiatów, czarujący sprawiało *efekt.* — Śród najgęściej ocienionych miejsc tego sztucznego ogrodu stały kosztowne sofy, kozetki, berżerki, fotele i stoliki zastawione owocami i wyborném winem. — Po jednej stronie ogrodu była sala pusta, tylko stół wielki i niski umieszczono na środku i zastawiono po-

trawami najwytworniejszego smaku — a do koła zamiast krzeseł na rozpostartym dywanie, miękkie i wysokie poduszki odpowiednio niskości stołu ułożono; — z drugiéj strony oranżerji, urządzono kilka maleńkich buduarów usłanych grubemi dywanami, usprzętowanych wytwornie z pomieszczonemi obok łazienkami, w których marmurowe wanny woniejącą napełniono wodą. — Wyborna orkiestra umieszczona w odległém i zakrytém miejscu napełniała ogród i buduary namiętną melodją i zdawało się że to kwiaty i drzewa wydają z siebie te niewidzialne, drażniące dźwięki.

Skoro Walery i Władysław weszli do tego przybytku roskoszy zobaczyli kilkanaście dziewic, przystrojonych z wschodnim przepychem, które przechadzały się po ścieżkach oranżerji a jaskrawe materje ich szat i blask fałszywych kamieni skrzących się od kolorowego światła, nadawały niewypowiedziany urok temu widokowi.

Alfons pospieszył na przyjęcie swych gości.

— Jakże znajdujecie mój raik? zapytał.

— Do licha, sądzę że przewyższyłeś nie jednego Baszę!

— Zkąd pan nabrałeś tyle piękności, rzekł Władysław, lornetując przechodzące odaliski.

— Kilka z nich przybyło z nami — znajdziecie między niemi różnokrajowe istoty, uważane są tutaj jako kuzynki moje i pana Fuhla... inne wzięte są ztąd w charakterze służących dla kuzynek—wszystkie... składają jedną całość, jeden ogród roskoszy, jak mówią mieszkańcy wschodu.

Czy te maleńkie, umieją skakać lub śpiewać— zapytał Władysław.

— Niektóre umieją i bardzo dobrze! zaraz to zobaczymy — gdyż ułożyłem balet charakterystyczny, który wykonają nam po kolacji.

— Wybornie! lubię patrzeć na podobne igrzyska, zawołał Walery, którego twarz ożywił już rumieniec wesołości.

A ja nie bardzo, odrzekł Władysław — przykro mi jest widzieć tak poniżone twory Boga— to sprawia mi taki wstręt jak widok kalectwa....

— Eh, zaczynasz pan moralizować — wstydź się! tym sposobem zabijem małą i tak iskrę wesołości naszéj — raczéj, pójdźcie panowie — kolacja nas oczekuje.

— Powiedz mi pan, czy umyślnie, tylko na dziś urządziłeś tak kosztownie to miejsce?

— Przeciwnie—odtąd przez ciąg pobytu mego w tém mieście, tu mieszkać będę.

— A towarzysz pański?

— Fühl?.. zostaje w hotelu Angielskim — rozłączamy się.

— Doprawdy?

— Nic dziwnego — obadwa mamy swoje fantazje — mój towarzysz niekiedy cierpi słabość melancholijną— lubi samotność i spokój... ja przeciwnie, jestem za wesołością i nic dziwnego! różnica wieku—młodość ma swoje prawa— lecz oto kolacja.

— Idźmy więc!..,

— Czy odaliski zasiądą z nami?

— Bezwątpienia.

. . . .

Po skończonej wieczerzy w ciągu której wyborne wina Alfonsa rozweseliły biesiadujących— odaliski wykonały ułożone poprzednio tańce — następnie dwie z nich śpiewały prześliczne Perskie pieśni w ojczystym języku.

Walery i Władysław byli zachwyceni. wino i cały przepych otaczający ich do którego nie nawykli, zrodził w ich organizmach pewien rodzaj upojenia. — Śród ogólnego chaosu szaleństwa, nie spostrzegli że Alfons spójrzawszy na

zegarek i dawszy tajemnie znaki dwom odaliskom chciał opuścić pole zabawy.

Władysław jednakże postrzegłszy że hrabia oddala się dogonił go na ścieżce oranżerji.

— A wstydź się! uciekasz od nas.

— Bądźże pobłażającym—oddalam się tylko na kwandrans.

Alfons oddalił się do buduaru — weszła za nim jedna z odalisk.

— „Słuchaj, rzekł hrabia do dziewczyny, zamknąwszy drzwi — uważaj dobrze — za półgodziny oddasz ten bilet jednemu z tych panów, któremukolwiek, następnie, powiesz innym że zabawa skończona — rozumiesz?

— Zupełnie.

— Przez ten czas zostaniesz w tym buduarze — po upływie pół godziny wyjdziesz i oddasz ten bilet mówiąc że ja dałem go tobie przed chwilką i wyszedłem.

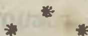
— Dobrze, panie hrabio.

. . . .

Alfons, zarzucił płaszcz na ramiona i bocznemi drzwiami zbiegł na dziedziniec — tam oczekiwał go zaprzężony powóz — zaledwie hrabia wsiadł, konie ruszyły galopem!

„Doskonale, myślał przez drogę Alfons, doskonale się ułożyło — wezmę miljony i za jednym razem pomszczę się na obydwóch moich wrogach, bo malarz zastanie jeszcze Fühla w pokoju swéj żony — będzie scena — może krwawa — i cóż ztąd? czyliż ci ludzie zasługują na litość moją? o Fühl! to śmierć Zelji tak uzbraja los przeciw tobie — a malarz? zapłaci drogo za swój policzek — hańba i nienawiść karmić go będą do zgonu — wybornie!

. . . . Kareta Alfonsa zatoczyła się przed hotel angielski.



W niewielkim w kształcie rotundy zbudowanym buduarze, którego ściany obite są perłowym kolorem przerabianym w purpurowe bukiety a podłoga wysłana blado niebieskim dywanem — przy łóżku zasłoniętém kotarą z białego haftowanego muślinu, klęczy Marja — na pulpicie jéj hebanowego klęcznika roztwarta książka, lecz oczy Marji wzniesione w górę szukają Boga na niebie! i dusza jéj własnemi modli się słowy.

„Boże mój! odwróć od serca mego ten smutek co je otacza, a niech napełni je szczęście jako ty napełniasz go w téj chwili.

Czemuż Ojcze mój Wysoki! czemuż dziś gdy odzyskałam miłość mojego męża — gdy los same dobrodziejstwa zdaje się zlewać na nas.... czemuż z serca mego nie chce ustąpić to bolesne przeczucie, co oddawna już udręcza mą duszę — lecz ufam, ufam! Tobie sprawiedliwy Boże! że dobroć Twoja zasłoni me życie od bolesnych ciosów.... ufam, Tobie najświętsza! Dziewico-Królowa! i Tobie ukrzyżowany męczenniku – Boże! że miłość moja zjedna mi Waszą opiekę, boście Wy byli miłością!

Marja powstała — otarła oczy napełnione łzami spokojnego rozrzewnienia... modlitwa jéj była tkliwą jak miłość dziewczyny — spokojna, jak odwaga poświęcenia — ufna, jak boleść męczennika.

Biedna kobiéta, przed kilką godzinami uczuła że jest Matką! i czekała niecierpliwie powrotu męża by z nim podzielić tę radosną nowinę.

. . . .

— Ludwiko! rzekła do służącéj, zagasisz lampę i zostaniesz przez noc w moim pokoju... jest sofa...

— Lecz proszę pani, rzekła zmieszana Ludwika... pan wkrótce przyjdzie....

— Wszakże pan sypia w swoim pokoju?..

— Tak, lecz dzisiaj kazał prosić pani by przygotować mu pościel w jéj pokoju... gdyż... tam... nieznośna wilgoć.... pan, skarżył się zrana na ból głowy.

— Ach, mój Boże! i wyszedł na takie zimno... każże posłać jego łóżko lub sofę i wnieść tu.

— Lecz tu jest sofa...

— Prawda — więc ją pościel — czy nie mówił Walery odchodząc, jak prędko wróci?

— Prosił aby pani nie czekała, — gdyż nie powróci przed dwunastą.

— To pan wyszedł zaraz po moim wyjeździe do ciotki?

— Nie, dopiero w parę godzin — pan nawet chciał czekać na powrót pani — lecz przybyli panowie...

— Któż taki?

— Pan Władysław i pan hrabia...

— Alfons?

— Tak.

— I cóż?

— I... pan Alfons w swoim powozie powiózł gdzieś obudwóch — wkrótce też pani wróciła.

— To dobrze, możesz już odejść.
— Czy mam wziąść światło?
— Weź!
Marja weszła do łóżka.

Jest przecież taki, córko Al-hassana —
Co byle ujrzéć blask twojego oka,
Co byle dotknąć ust twoich szkarłatu...
Wdarłby się nawet tam, gdzie niedeptana
Ścieżka prowadzi... na szczyt Araratu.

F. Moore.

— W nocy... wszystkie koty są szare.

„Przysłowie.“

Dwaj mężczyzni okryci w płaszcze zbliżyli się do domu zamieszkanego przez Walerego.

Poprzedzający ich człowiek w płaszczu liberyjnym, otworzył kluczem bramę i wszyscy trzéj weszli.

— Zamknij bramę, wyrzekł jeden z nieznajomych, a potém zwracając się do swego towarzysza rzekł cicho: — „Lepiéj uczyniliśmy, idąc pieszo — gdyż powóz stojący przed bramą o tak późnéj porze, mógłby zwrócić uwagę... lub wreszcie turkot jego obudziłby Marję.

— Czy wiesz panie Alfonsie, że drżę cały!

— Wstydź się hrabio! pan drżący... to zabawnie... pan, który nie drżałeś gdy ręka twoja broczyła się we krwi twéj córki!

— Precz! Zostaw te krwawe wspomnienia!... moje nerwy są rozdraźnione — nie mogę znieść teraz podobnych obrazów...

— Idźmy!

— Alfons i Fühl weszli do przedpokoju, Ludwika otworzyła im salon przyległy sypialni Marji.

— I cóż? spytał Alfons.

— Pani śpi już od godziny.

— To dobrze — no, panie hrabio, odważnie ręczę za powodzenie.

Fühl milcząc zrzucił futro z ramion i miękkie futrzane kalosze — drżał cały a twarz jego bladła i rumieniła się naprzemiany.

Ludwika ze zgrozą spojrzała na Fühla.

— Wszakże wasz pan wieczorem podobnie ubiera się, rzekł znowu Alfons wskazując służącéj negliżowy strój hrabiego.

Ludwika skinęła głową.

— No, a teraz idź pan!... lecz pierwéj, przypominam ci twoją obietnicę.

— Cóż więc?

— Jesteśmy przy drzwiach sypialni Marji...

— Ah! twoja zapłata... oto jest w tym pugilaresie... weź go!

— Dziękuję!

Pan Fühl podniósł zasłonę nad drzwiami i wszedł cicho do *buduaru* Marji...

Wybiła godzina dwunasta!

Pół godziny upłynęło od czasu jak Alfons opuścił biesiadę.

Scena w oranżerji odmieniła swoje oblicze — światło lamp pobladło — odaliski znużone tańcem i upojone winem leżały wpół uśpione śród krzewów...

.... Na niskiej sofie — siedział Władysław — twarz jego wyrażała unużenie zmysłów — zagasłe cygaro przesuwał niedbale w ustach.

Zapukano do drzwi jego buduaru — Władysław otworzył — jedna z odalisk weszła.

— Cóż sprowadza cię, różo sarońska?

— Ty sam, panie.

— Ja? niestety!

Odaliska milcząc podała Władysławowi bilet Alfonsa.

Władysław przeczytał — porwał się szybko i zapytał:

— Jak dawno hrabia oddał ci to pismo?

— Przed chwilką.

— I wyszedł?

— Tak.

— Czy powóz jego jest tu?

— Jest ich kilka.

Władysław wybiegł z salonu — znalazłszy Walerego drzymiącego niedaleko jednéj z hurysek, wstrząsnął nim silnie.

— Czego chcesz synu Apollina od spokojnego muz wychowańca, zapytał niedbale Walery, otwierając mgłą pijaństwa przesłonione oczy.

— Wstawaj, na miłość Boską! gdyż życiem całém nie wynagrodzisz téj jednéj chwili—wstawaj!

— O cóż idzie?

— Jeśli obchodzi cię życie i honor twéj żony, idź ze mną natychmiast!

Walery zdumiony udał się za Władysławem, przebiegli szybko wschody— powóz hrabiego zaprzężony stał na dziedzińcu — wsiedli.

— Dokąd? — zapytał lokaj zamykając powóz.

— Na Krakowskie-Przedmieście!

Czy wreszcie wytłumaczysz mi co to wszystko znaczy? zapytał Walery — gdy już powóz wyruszył na ulicę.

— Czytaj to!

— Dalibóg, nie dojrzę — to światło powozowych latarni tak się migocze i prócz tego tyle piłem... czytaj sam!

— Więc słuchaj! to pisze Alfons do ciebie.

— Aha! a gdzież on podział się?

— Zaraz się dowiesz — słuchaj!

„Mój Walery! po odebraniu tego biletu, wsiadaj w mój powóz i spiesz natychmiast do swego mieszkania — jedna chwila zwłoki a wszystko stracone! — Pomnisz zapewnie że w skutek powziętego zamiaru wyprobowania twego charakteru, podałem ci projekt sprzedania twéj żony innemu na jedną godzinę — projekt ten, powiem ci teraz, doradził mi pan Fühl — rozumiałem z początku, że zamiary jego były równie czyste jak moje — teraz, przekonywam się że on pragnie posiadać Marję i że istotnie liczył na twoją uległość w téj nikczemnéj propozycji — lecz zawiodłszy się, nie zaniechał swych chęci i dziś korzystając z oddalenia twego, za pomocą złota będzie wprowadzony do sypialni twéj żony gdzie, chce przybrawszy postać twoję.... rozumiesz mnie z resztą... liczy on na ciemność i na senność Marji — dla tego też zamiar ten podobnym jest do wykonania — pospieszaj Wa-

lery! musimy schwytać zbrodniarza — ja biegnę naprzód gdyż każda chwila jest drogą.

— Na miłość Boską! czego chcą odemnie ci ludzie — za co mnie tak uporczywie prześladują, zawołał Walery, gniotąc list w ręku — a to czysta komedja! mówił daléj z gorzkim gniewem — czy sądzą że to kraj azjatycki? — ale ja przywrócę ich do rzeczywistości i... do pioruna! drogo mi zapłacą. — jedź prędzéj, jedź!

I powóz poleciał jak strzała.

. . . .

— Myśl stała się czynem

b: ważne!

Turkot kół zajeżdżającego powozu wstrząsnął lekko szybami domu.

— Już przybyli — sam czas — wyrzekł Alfons — Lorenzo! nakryj mnie płaszczem — czy bramę otworzyłeś?

— Tak.

— Dobrze, a teraz za mną na wschody.

Alfons zbiegł do połowy schodów i znowu zwrócił się jakby idąc na górę.

W tejże chwili Walery z Władysławem wpadli na korytarz przedwschodowy.

Alfons obejrzał się.

— Walery!

— To hrabia!

— A co?

— Ja téj chwili przybywam—szedłem pieszo — dogoniliście mnie... a teraz, odważnie razem!

— I czy to prawda! On jest tu?

— Niezawodnie!

— A więc, niech się Bóg zlituje nad nim.

— Co chcesz czynić?

— Ja?.. Zamorduję go!

Zbliżyli się do drzwi.

Były zamknięte.

Alfons zadzwonił — lecz Walery z Władysławem podważyli drzwi plecami, zamek pękł! a drzwi otworzyły się na oścież.

Ludwika wybiegła przelękniona — dla niej przybycie niespodziewane Walerego było istotnie okropném.

Walery porwał ją za ramie i zapytał groźnie.

— Kogoś tu wprowadziła! — kto tu jest?

— Gdzie... panie... ja... nie wiem....

W téjże chwili krzyk przeraźliwy rozległ się w pokoju Marji — krzyk rozpaczy i przestrachu zarazem a jednocześnie przerywały go jęki i chrapania jakby z piersi konającéj dobyte.

— Okropność!! co to ma znaczyć?

Alfons porwał lampę i wszyscy wpadli do sypialni Marji...

. . . .

Marja siedziała na pościeli... na odgłos kroków przybywających, powodowana instynktem

wstydu okryła się jedwabną kołdrą. — W twarzy jej malował się przestrach i obłąkanie — ręce wyciągnięte przed siebie zdawały się chcieć odpychać przedmiot wstrętu!...

...... Na dywanie pokrywającym podłogę leżał Fühl — usta jego parskały pianą! a ciało rzucała siła konwulsji... jakieś chrapania dobywały się z jego piersi... oczy wytężone okropnie, przerażająco patrzyły na Marję — pot zimny kroplami spływał po zsiniałej twarzy.

Przychodzimy zapóźno! zawołał Alfons.

— Walery krzyknął zgrozą przejęty — zachwiał się... i upadł na ręce Władysława.

W jednej chwili Alfons z pomocą służących wynieśli Fühla do powozu i kiedy malarz odzyskał zmysły już tylko znajdował się sam.

Lampa paliła się na stole — przy nim w głowach stał służący.

— Coto jest?... gdzie jest pani?

— Pani słaba.

— Jest kto przy niej?

— Ludwika.

— A Władysław?

— Pan Władysław pojechał po doktora gdyż lękał się o zdrowie pana.

— Dawno pojechał?

— Przed kwadransem.

Więc kwadrans byłem bez zmysłów, pani... bardzo słaba?

— Nie — już teraz znacznie zdrowsza, tylko nie pokoi się o pana...

Gorzki uśmiech przebiegł po bladéj twarzy Walerego.

— Idź do pokoju pani — powiedz niech Ludwika odejdzie ztamtąd — chcę pomówić z żoną.

— Lokaj wyszedł.

. . . .

Po chwili Walery blady, z wyrazem okropnéj spokojności w twarzy, wszedł do pokoju Marji...

Nie chcesz się strzelać Gulpinie!
A więc cię zmuszę kolego!
Krew z twego serca popłynie
Jak boleść płynęła z mego! —

„Z Szkockiéj pieśni.“

Nazajutrz prześliczna pogoda obiecywała jeden z najprzyjemniejszych dni zimowych.

Pogoda zjawiająca się śród słotnej pory jest zawsze pożądaną.... ludzie oszczędzający obuwia wychodzą wtedy na spacer — niedołęgi mają od czego zacząć rozmowę.

Z bramy hotelu Angielskiego wyszedł Władysław — na zamyślonej jego twarzy malowały się — oburzenie i wzgarda.

Zaledwie postąpił kilka kroków na ulicę — mężczyzna w kapeluszu naciśniętym na oczy, z rękami konwulsyjnie wtłoczonemi w kieszenie, zastąpił mu drogę.

— Walery!!

— Ja. — Nie mogłem powściągnąć się dłużej każda chwila stawała się wiekiem dla mnie.... no! i cóż? Kiedy... i ... jaka broń?

— Nie przyjął pojedynku.

— Co? nie przyjął... żarty!

— Nie żartuję nigdy w rzeczach podobnéj wagi — powtarzam, nie przyjął.

— Lecz powód?

— Powiedział wprost, że nie toleruje pojedynków, ponieważ nie widzi w nich dla siebie równowagi.

— Jakto?

— A tak — powiedział mi wyraźnie: „Ja mógłbym pojedynkować się tylko z człowiekiem, równym mnie urodzeniem i majątkiem, bo wtedy stawka byłaby równa — gdy tymczasem obecnie rzecz się ma przeciwnie. — Pan Walery nie ma nic do stracenia, prócz życia, które obecnie przy ubóstwie i stracie honoru żony, mało warte — ja zaś ryzykuję ogromny majątek, przy którym życie moje przyjemnie i łatwo upływa.

— Więc zobaczymy komu szatan zapewni wygraną choć stawka nierówna, zawołał Walery stłumionym od wściekłości głosem.

— Gdzie idziesz?

— Tam, do niego!

— Lecz nie wpuszczą cię...

— Co? zobaczymy! przygotowany byłem na to. Pójdź ze mną.

Dwaj młodzieńcy wbiegli na pierwsze piętro — nad spodziewanie wprzedpokoju nie było nikogo ze służby.

— Los nam sprzyja!

Walery i Władysław weszli do sali...

Pan Führl leżał na sofie, miał na sobie obszerny szlafrok z perskiej materji podszyty gronostajami — na głowie ciepłą aksamitną czapkę — nogi jego okryte były rodzajem kamaszy zachodzących aż pod kolano — Unużenie wydatnie odznaczało się na pożółkłej jego twarzy.

Na widok wchodzących uniósł się cokolwiek z sofy i chwycił do ręki szczerozłoty dzwonek.

Walery nie zdejmując kapelusza zbliżył się do Führla.

— Czego pan żąda?

— Pan nie przyjąłeś pojedynku?...

— Tak — lecz czy w tym kraju przyjęte jest wchodzić w ten sposób do kogoś. — Proszę niezapominać się — lub przywołam służących...

— Milcz! nie przywołasz nikogo — gdyż jeżeli poruszysz dzwonek — jeżeli jeden krzyk wydasz przysięgam ci na honor! że strzelę do ciebie jak do zwierza... rozumiesz?

Walery dobył z kieszeni krucicę i wymierzył w piersi Fühla.

Cudzoziemiec zadrżał — zbladł — i rzekł powolnym głosem.

— Czy pan chcesz mnie zamordować?

— Uczynię to istotnie jeżeli nie przyjmiesz pojedynku...

— Lecz... pan oszalałeś — wszakże już otrzymałeś *satysfakcję*.

— Ja!...

— Kazałem panu wyliczyć 800,000 franków i pan przyrzekłeś dobrowolnie zgodzić się na...

— Milcz nikczemny! albo... i Walery skierował lufę broni w głowę Fühla.

— Co pan chcesz uczynić — krzyknął hrabia przerażony.

— Podły i tchórz razem rzekł z urąganiem malarz...

Teraz Fühl poczerwieniał z gniewu.

— Strzeż się panie, rzekł, nie znasz tego z kim walkę chcesz zacząć — strzeż się! Bo skoro raz usta moje wydadzą wyrok na ciebie, żadna moc

ludzka nie ochroni cię przed zemstą moją — bo potęga złota jest wszechwładna! a ja rządz złotem.

— Dość już tego — groźb twoich nie lękam się — zresztą, umarli milczą — a pan będziesz trupem za chwilę, jeżeli nie udasz się z nami natychmiast na plac walki!

— Ha! unikając śmierci przyjmuję pojedynek, lecz nie mam towarzysza...

— Wstąpim po drodze do hrabiego Alfonsa... lub do kogo innego, jeśli pan wolisz...

— Alfons jest podły zmiennik... lecz nie znam nikogo więcéj, więc przyjmuję Alfonsa.

— Więc przygotuj się pan — natychmiast!

. . . .

W kilka chwil potém pan Fühl wraz z Władysławem, Walerym i lekarzem, zajechali przed hotel hrabiego Alfonsa — a po niejakim czasie dwa powozy ruszyły za miasto.

W okolicach Czerniakowa jest mały brzezinowy lasek — miejsce to jako mało uczęszczane wybrano na plac walki. — Powozy zatrzymały się w pewnéj odległości a przeciwnicy wraz z sekundantami udali się wgłąb gaiku.

Ułożono, że pojedynkujący się... bić się będą na szpady.

Podano broń — i walka rozpoczęła się. — Fühl z początku zaraz widoczne odnosił korzyści... gdyż podczas spotkania, nie odstępowała go zimna krew... gdy tymczasem młody jego przeciwnik, walczył popędliwie i za każdém złożeniem pragnął śmiertelnie ugodzić nieprzyjaciela, prócz tego, widoczném było że Fühl daleko był zręczniejszym w robieniu szpadą — jakoż po

kilko minutowéj walce, Walery upadł krwią zbroczony.

Lekarz cudzoziemiec podróżujący przy dworze Fühla zajął się natychmiast opatrzeniem ranionego — Fühl rzucił skrwawioną szpadę i rzekł:

— Chcieliście sami — otóż wypełniłem rozkazy panów. — Spodziewam się że ten młodzieniec utraci już na przyszłość żądzę poszukiwania orężem swéj krzywdy. — Żegnam panów— zostawiam mego doktora na usługi rannego.

— Jeszcze chwilka kochany panie, rzekł drwiącym głosem Władysław.

— A pan... co każe?

— Widzisz łaskawco — w naszym kraju pojedynki są zabronione i rzadko zdarzy się sposobność doświadczania tych wrażeń jakie walka o śmierć lub życie nastręcza — powiem panu że ja jestem nadzwyczaj zwolennikiem wrażeń jako nerwowy młodzieniec — i dla tego chciej uczynić mi zaszczyt i weź na powrót broń do ręki.

— Nie pojmuję pana — nie wyrządziłem ci żadnej krzywdy i nie wiem czego chcesz odemnie?...

— Właśnie też dobrodzieju, dla tego kłuć się będziemy — pan co tak wiele podróżowałeś po-

winieneś bez zadziwienia spotykać dziwactwa charakterów — ja naprzykład, mam taką zasadę że gdybyś pan mnie tylko obraził lub skrzywdził to... spojrzałbym na pana z litością tak jak na wściekłe zwierzę, przepraszam za porównanie, lecz że pan obrażasz prawa sprawiedliwości i honoru, więc stara szpada pułkownika, mego ojca, będzie miała zaszczyt dotknąć niechrzczonej twej piersi...

— Dzieciak pan jesteś — odchodzę.

— Nie odejdziesz dobrodzieju... a jeśli koniecznie potrzeba ci powodu... to masz go!

I Władysław szybkiem poruszeniem uderzył płazem szpady w twarz Fühla.

— Hrabia drżący z gniewu porwał broń do ręki i rozpoczęła się walka.

— Władysław z zimną krwią odbijając ciosy hrabiego, mówił drwiącym głosem.

„Radzę panu zachować zimną krew panie Fühl — bo w istocie nie masz powodu oburzać się zbytecznie... Uderzyłem cię szpadą w policzek... to... prawda... lecz gdybyś znał prawa honoru, lub gdyby je pisano w Mysznie, to wiedziałbyś że dotknięcie broni co piętnaście lat służyła do walki na polu bitwy, uzacnić może i najpodlejsze oblicze—tą szpadą dobrodzieju!...

ojciec mój -- wyrył swoje szlacheckie nazwisko na pyramidach Egiptu... Stary, piekł się na słońcu... a skrobał swój klejnot rodzimy... by mu kłaniały się wiatry i piaski Afryki!... lub mówiąc jeszcze poetyczniéj... by wschodnie gwiazdy złotemi oczyma patrzyły w chlubne nazwisko żołnierza...

W téj chwili zniecierpliwiony długą walką i szyderstwem przeciwnika, Fühl natarł na Władysława aż iskry posypały się z dwojga wybornych stali!

— Pańska szpada krótsza nieco kochany hrabio! radzę ci hamować uniesienie... o to! było bardzo dobre pchnięcie!.. jeszcze jedno takie, zręczniéj wykonane... a wybrany syn Apollina legnie bladym trupem u stóp twéj posępnéj figury... uważaj pan.... pan... zraniłeś mnie w rękę... lecz ostróżnie... baczność, bo patrz tylko!...

Szpada Władysława przebiła na wylot bok hrabiego.

Fühl jęknął boleśnie — chwycił lewą ręką za utkwioną w swém ciele broń przeciwnika i z wysileniem wściekłości rzucił się na Władysława— lecz zręczny młodzieniec uskoczył w bok i uniknął, może śmiertelnego ciosu. — Fühl... jakby

ostatatnie siły wytężył do tego razu.... upadł na ziemię bez zmysłów.

— Przepraszam panie doktorze... lecz chciałbym wyjąć szpadę starego pułkownika od ułanów z boku tego pana...

— Strzeż się pan! to może pogorszyć stan ranionego...

— A niech się co chce stanie... szkoda szpady... zardzewiałaby na wieki pozostając dłużéj we krwi tak podłéj... a teraz panie Alfonsie! dopomóż mi przenieść mego przyjaciela do powozu...

— Alfons nieruchomy stał przed ciałem Walerego i chciwie wpatrywał się w blade jego rysy.

— No, a pomóżże mi pan — potém wrócisz do tego pseudo-hrabiego gdyż przyjąwszy na siebie obowiązki jego sekundanta, bądź co bądź, powinieneś je wykonać.

— Obadwa, obadwa! — rzekł śmiejąc się ponuro Alfons — i przeniósł wzrok szydzący na Fühla rozciągniętego na śniegu.

— Władysław badawczo popatrzył w twarz Alfonsa. — Zrozumiał wszystko — i rumieniec gniewu wystąpił na jego lica — lecz jęk boleści wydobyty z piersi Walerego przypomniał mu.

że powinien przedewszystkiém poświęcić się na usługi ranionego przyjaciela.

Obudwu przeciwników złożono w wygodne powozy — i cały orszak pojedynkowy powrócił do miasta.

W kilka dni po odbytym pojedynku — Walery miał się znacznie lepiej — zresztą, rana jego nie była niebezpieczną — tylko znaczny upływ krwi sprowadził osłabienie w organizmie młodzieńca.

Była może godzina dwunasta — dzień był chmurny i dżdżysty — Walery, który jeszcze dotąd nie opuszczał łóżka, spał... lecz tym snem lekkim — jakim usypiają zwykle ci których dusza zarówno cierpi jak ciało.

Przy łóżku, w wygodnym fotelu siedział Władysław — na twarzy jego widać było unużenie... trzymał w ręku jakiś romans francuzki... lecz nieczytał go w tej chwili — tylko patrzył uważnie w uśpioną twarz chorego.

Walery otworzył oczy.

— To ty, mój drogi Władysławie — zawsze przy mnie.

— Owszem, był tu i doktor przed chwilką.

— Co mówił?

— Nie kazał budzić cię... mówiąc, że najlepszém lekarstwem dla ciebie jest spokojność.

— Właśnie też tego lekarstwa za żadną cenę nie kupię, rzekł z gorzkim uśmiechem ranny.

— Trzeba ufać w sprawiedliwość Boga i w moc własnego rozumu.

— Mój Władysławie.... ja tracę wiarę i w sprawiedliwość Boga i w potęgę rozumu; usiłowania méj woli zrujnowały budowę mego życia a sprawiedliwość Boska...

— Ukarała cię za brak wiary w Jéj obecność, za brak cnoty w działaniu twéj woli. — Lecz powiedz mi, dla czego twoja żona odjechała? Czy ty sam znagliłeś ją do tego...

— Chciałżeś, abym żył z kobietą w któréj objęciach ten potwór spoczywał? którego ona osypała pieszczotami miłości... Oh! tylko tego jeszcze brakowałoby do uzupełnienia méj hańby.

— Lecz czyliż jesteś pewnym że nieszczęście to stało się istotnie... twoja żona przyznała?

— Ona nic nie mówiła — lecz widziałem na jej czole — ten wstyd i upokorzenie które objaśniły mi całą przepaść mojéj niedoli. — Z resztą chociażby i zaprzeczyła, to czyliż sądzisz że uwierzyłbym temu? Nigdy!.. szczęście mego życia stracone już na zawsze, bo abym odzyskał tę kobietę taką jaką była... trzeba mi zupełnéj pewności, dowodów zupełnie przekonywających a takich nikt mi dać nie może... O, to jest okropne nieszczęście!... i ty chcesz abym ja, którego los jak wściekły pies pokąsał, — abym wierzył w sprawiedliwość Boga? to szyderstwo mój przyjacielu! Ty nie sądź mnie bezwzględnie, lecz postaw siebie w położeniu w jakiém jestem obecnie — wyobraź siebie obdartym z uroku całego życia — okradzionym haniebnie ze wszystkiego co czciłeś, co kochałeś — i potém śmiej zarzucać mi brak wiary w prawość sądów Opatrzności.

— Ty uwierzysz w prawość Jéj wyroków — uwierzysz — przysięgam!

I czoło Władysława okrył rumieniec szlachetnego zapału.

— Ty mi to przyrzekasz — nierozsądny! jestżeś Bogiem?

— Będę działał w Jego imieniu, a stanie się wola moja!

— Walery wstrząsnął głową z uśmiechem niedowierzania.

— Gdzie jest obecnie twoja żona?

— Wyjechała do Sosnówki.

— Sama?

— Nie wiem — gdyż nie byłem obecny jej oddaleniu... ale, taż sama uległość moim chęciom w tym razie... czyż nie dowodzi winy?... niewinna, nie oddaliłaby się bez żadnego usprawiedliwienia, bez żadnych wyrzutów.

— Bardzo mało znasz wrażenia serc szlachetnych — ja nie wiem — nie mogę ręczyć, jak jest istotnie w tym razie... lecz przysięgam ci! że taka kobieta jak Marja, posądzona niesłusznie od człowieka któremu całe życie oddała... taka kobiéta, oddaliłaby się bez żadnéj skargi i usprawiedliwienia. — I takie poddanie się -- taką rezygnację znajdziesz we wszystkich szlachetnych sercach...

— Oh, gdyby tak było istotnie...Boże moj! jakżebym błogosławił Ciebie! z jakąż pychą rzuciłbym się do nóg Marji... anioła... lecz... gdzież pewność, gdzie?...

— W każdym razie, Walery, postąpiłeś niesłusznie — bo dajmy, że istotnie Fühl dopiął swego zamiaru — to cóż winna Marja? Czyliż to nie ty byłeś dla niej obecnym w osobie zbrodniarza nadużywającego jéj niewiadomości.... mogłaż ona przewidzieć że tak mało będziesz czuwał nad jéj spokojnością?.. bo przyznaj, że gdybyśmy nie przepędzili tego czasu na głupiéj, rozpustnéj biesiadzie— to złe nie miałoby miejsca... dla czegoż więc tę niewinną istotę prześladujesz z taką zaciętością? gdzież ona uda się teraz? sierota, bez familji... odtrącona w chwili nieszczęścia przez jedynego opiekuna, zhańbiona niesłusznie... to okropność Walery!... Pomyśl, że gdy los rzuci poniżenie na prawe serce, to taka rdza zetrze wszystkie barwy nadziei... strzeż się Walery, abyś nie wyrzucał sobie zbrodni w obecnym postępku...

—Więc cóż chcecie odemnie? żądasz bym podziękował téj kobiecie za to że stała się przyczyną méj niesławy i wszystkich nieszczęść moich? Winna, czy niewinna, dość że ona była jedyną przyczyną wszystkiego co się stało... i nigdy! nigdy... nie przebaczę jéj... nie chcę... niechcę jéj widzieć!...

— Więc słuchaj mnie szaleńcze! — lituję się nad tobą i gardzę tobą — lecz dla miłości Boga uczynię dla ciebie wszystko co tylko moc moja zdoła. — Pójdę i odkryję istotną prawdę i albo dowiodę ci niewinności Marji albo... jeśli nie zdołam uczynić tego... przyjdę i w imieniu Boga i ludzi nazwę cię nędznikiem! Nie zobaczysz mnie prędzéj — bądź zdrów.

— Władysław oddalił się.

Walery osłabiony gwałtowném wzruszeniem prawie bez zmysłów pozostał na łożu boleści.

Kilka miesięcy upłynęło już od czasu opowiedzianych wypadków.

— Rana Fühla była tak niebezpieczną że nie mógł jeszcze powstawać z łóżka.

— Walery — lubo uleczony już zupełnie — zapadł na nerwową gorączkę — która przymuszała go pozostać bezczynnym. — Malarz — od czasu pojedynku — niknął widocznie — umysł jego cierpiał bardziej niż ciało i pomoc lekarska nie przynosiła mu żadnéj ulgi.

Władysław dotrzymał słowa. — Od czasu ostatniéj rozmowy z Walerym nie odwiedził go dotąd — lecz jeździł wkrótce potém do Sosnówki z tamtąd po widzeniu się z Marją powrócił i był kilka razy u Alfonsa — widać — hrabia przeciwny był zamiarom Władysława, gdyż ten

nie mógł dotąd złożyć Waleremu dowodów niewinności Marji.

Władysław czas jakiś był smutny — prawie ciągła samotność nadała jego charakterowi pewien odcień melancholji... Zaledwie niekiedy odwiedził Emilję i wybierał do tego chwilę taką, w której ona przyjmowała u siebie inne osoby— aż w kilka miesięcy po katastrofie pojedynku... zdawało się że Władysław powziął jakiś stanowczy zamiar, i ... skutkiem tego wyjechał z Warszawy.

W kilka dni po jego oddaleniu w saloniku Emilji Alfons siedział z ożywioną twarzą i prowadził żywą rozmowę z swoją piękną gospodynią

. . . .

— I nie chcesz pani wysłuchać mnie nawet?

— To wszystko jedno panie hrabio, wierz mi pan że gdybyś nawet istotnie kochał mnie tak jak tylko serce człowieka kochać zdoła... i gdyby wyrazy twoje, natchnione tem uczuciem płynęły jak czysty zdrój szczęścia i przyszłości... to jeszcze serce moje pozostałoby głuchem na twoje słowa.

— Na Boga! pani jesteś okrutną... Emiljo! dla czegoż kobieta z tak ukształconą duszą jak twoja, dla czegoż, bez powodu odpycha od sie-

bie podwójne szczęście... Bo ty nie wiesz ile stworzyłabyś dobrego, wzniosłego! przyjmując moje ofiary... Ty niewiesz, że ja razem z twojém sercem posiadłbym i cnoty o jakich ludzie tylko marzą.... ty, byłabyś dumną twojém dziełem! bo człowieka zepsutego, zbrudzonego nadużyciem... przetworzyłabyś w istotę wysoką i czystą którą musiałoby szanować nawet twoje szlachetne serce... Emiljo, to niepodobna... nie będziesz tak okrutną — nie odbierzesz mi nadziei najdroższéj... lub... ja rozum stracę!...

— A jednakże będę tak okrutną.... będę! choć... żal mi pana... wierz mi panie.

— Oh, to jest nieszczęście!... ta kobiéta nie pojmuje uczucia... nie pojmuje go wcale!... szydzi ze mnie, a ja... ja jestem tak słaby, że kocham ją... To rzecz okropna!...

— Posłuchaj pan — ja nie szydzę z uczuć pańskich — bo wiem że to boli okropnie — bo ja wiem że namiętność niepodzielana, która żebrze napróżno współczucia, jest wielkiém nieszczęściem!... bo i rani i poniża razem... wierz mi pan, szczerze boleję nad cierpieniem pana, lecz... jesteś młody... bogaty — posiadasz umysł otwarty, serce przystępne uczuciom... więc możesz jeszcze pocieszyć się po tym zawodzie —

zapomnisz dziwactwa jednéj dziewczyny... ja... błogosławić będę twoim zamiarom, lecz kochać cię nigdy — nigdy, nie będę... bo... ponieważ trzeba to wyznać panu... już kocham... istotę wysoką — szlachetną, przed którą dusza moja korzy się jak przed Bóstwem!

— Pani kochasz?.. więc to prawda... kochasz... Władysława?!

— Zgadłeś pan — i ta miłość jest mojém szczęściem, mojém cierpieniem... moją dumą! życiem! bez niéj... jabym była, jak bez siły... jak ciało bez pokarmu... bez niéj... jabym umarła! — Chociaż wiem, dodała smutno, że serce Władysława nigdy nie odpowie współczująco memu sercu—bo on już stał się posągiem cnoty! a jako posąg skamieniał pojedynczém życiem...

— Ależ on — nie kocha ciebie! — Ten człowiek nie może już nic kochać — bo on stał się już jakąś istotą *zbiorową* — jakąś *siłą* i zginął sam w kształtach swych własnych idei.... I na cóż przydać ci się może taka miłość?.. wierz mi, kochając Władysława to tak jakbyś kochała... sen dziewiczy... gwiazdę świecącą z daleka... których dłonie twe nie zdołają dotknąć nigdy!

— I czy pan sądzisz że podobna miłość istnieć nie może?... trzebaż koniecznie grubych,

zmysłowych powrozów by przywiązały serce do serca!... może to dziecińststwo... szał jakiś dziewiczy... który później życie samo wproch rozwieje! lecz dziś... ja czuję urok téj namiętności czystéj, szlachetnéj i nieszczęśliwéj ! co prowadzi serce za śladami człowieka, który jako meteor ognisty przebiega po niebie moich marzeń i ciągnie mnie za śladem swych promieni... i... ja... szczęśliwa jestem, nawet mojém cierpieniem.

— Rozumiem panią — rzekł z gorzką ironją Alfons — rozumiem zupełnie — pani stosuje się do słów waszego poety: — „Szczęśliwym może nazwać się na ziemi, kto poznał Boga wielkiego na niebie, i kochał męża wielkiego na ziemi!“ — ależ wreszcie do czegoż to panią doprowadzi? Ten człowiek nie kocha cię wcale — kiedykolwiek burzliwy umysł jego powiedzie go w oddalone, strony i... utracisz nawet widok jego... a wtedy zciemnieje droga którą twój jasny meteor zostawia za sobą, wtedy — pozostaniesz *samą*. — Może sądzisz pani że taka przyszłość nie jest rysunkiem lecz karykaturą, naszkicowaną przez zawistną rękę... Nie! dziś nawet może ona już spełniła się.. bo Władysław opuścił miasto... i nie wiadomo dokąd udał się już od tygodnia przeszło... czy wiadomo pani?...

9*

— Wiem o tém.

— A! — to wiesz zapewnie dokąd wyjechał?

— Nie — lecz jestem spokojną — moja ufność w jego charakterze jest bez granic! on wie że kocham go, i nie opuści mnie w ten sposób — bo to byłoby niegodne jego prawego serca — On wie, że odepchnąwszy mnie od siebie zniszczyłby jedyną żyjącą i czującą istotę a wielka dusza nie zniszczy nic w naturze — lecz odżywia!.. — On odebrawszy mi siebie wskaże za to, drogę jaką postępować mam w przyszłości a... spełni się jego wola!

— Ależ to jest zaślepienie!... Ten człowiek opętał panią jak szatan i ja... ja... go zamorduję!

— Nie uczynisz pan tego.

— I dla czegoż?

— Bo naprzód, nie śmiałbyś wznieść ręki na niego, bo Opatrzność czuwa nad swemi aniołami... nakoniec, gdybyś spełnił twój zamiar zabiłbyś tylko siebie..

— Jakto?

— Oh, mój panie, rzekła Emilja także z lekką ironją, powiedziałeś mi dopiéro słowa wielkiego poety — na usprawiedliwienie słów moich, powiem ci prozą myśl wielką!... którą wyczytałam z gwiazdy północnego nieba: „Ten jest nie-

śmiertelnym na ziemi, kto przez śmierć swoją, życie rozradza — lecz kto swojém życiem daje śmierć — ten gdy skona, nie wstaje już!“

— Ależ — my marzym, pani! na Boga — co się dzieje?... w jakież błędy wpadamy.— Rzeczywistości, pani! żyjemy na zmysłowéj ziemi, my — dzieci zmysłów!

— Dla mnie wszystko jest rzeczywistością co jest dobre i wielkie.

— Lecz pani...

— Lecz panie — sądzę że nie zrozumiemy się wcale. — Racz mi pan przebaczyć, hrabio, lecz jestem tak utrudzoną — czuję potrzebę samotności...

— Każesz mi pani oddalić się...

— Proszę pana.— lecz bez gniewu — chciej pan wierzyć że istotnie jestem cierpiącą i potrzebuję spokoju.

— Lecz pani pozwolisz widywać cię.

— Wierz mi pan że to nie doprowadzi go do niczego — dla własnego dobra powinieneś zapomnieć o mnie... lecz nakoniec dodała niecierpliwie, nie mogę zabronić panu popełniać szaleństwa gdyż to nie jest w méj mocy...

— I zobaczysz pani szaleńca... zobaczysz!

— Panie hrabio!

— A jesteś — no cóż?

— Mam zaszczyt donieść JW. panu że pan Władysław już przyjechał.

— Kiedy?

— Przed dwoma godzinami.

— I gdzież jest obecnie?

— U siebie — w domu.

— To dobrze — jestem zadowolniony z ciebie — możesz odejść.

Alfons zadzwonił.

— Po chwili wszedł kamerdyner.

— Lorenzo! mój powóz — natychmiast!

W kilka minut potém Alfons zajechał przed mieszkanie Władysława.

Zastał go ubranego zupełnie jak do wyjścia.

— Nieskończenie przepraszam pana... pan wychodzi...

— Nic nie szkodzi — mogę pozostać — niechże pan siada.

Alfons z zadumieniem poglądał na otaczające go przedmioty, które dowodziły jawnie niedostatku swego właściciela.

— Przyglądasz się pan memu pomieszkaniu... nie jest ono podobne do owego apartamentu, gdzie dawałeś nam ucztę na sposób orjentalny... ale cóż czynić... mój ojciec, stary żołnierz, więcej cenił honor jak pieniądze i dla tego zostały mi po nim tylko jego szlify, szabla i krzyż—resztę jaką posiadam winienem jedynie pracy rąk moich a w naszym kraju pióro szczupły przynosi zarobek... ale.. zatrudniam pana... rzeczami które go mało obchodzą... raczej... cóż zjednało mi zaszczyt widzenia pana w moim domu?

— Przybyłem pomówić z panem otwarcie — w rzeczy która nas obudwu najmocniej obchodzi.

— Nas obudwu?

— Tak panie.

— Można panu służyć cygarem?

— Stokrotnie dziękuję panu, jeśli łaska proszę tylko o ogień...

— O cóż więc idzie?...

— Pan... robiłeś mi kilkakrotnie zaszczyt i odwiedzałeś mnie w interesie pańskiego przyjaciela.

— Czy nakoniec jesteś pan w chęci wynagrodzenia złego które popełniłeś?

— Istotnie — to jest... pod pewnemi warunkami...

— Jakież warunki?

— Przedewszystkiem muszę panu powiedzieć rzecz którą chciałbym abyś raczył uważać na serjo.

— Ja wszystko uważam na serjo... lub wcale nie uważam..,

— Ja kocham Emilję!

Władysław zbladł i zadrżał po chwili jednak pewnym wyrzekł głosem:

— Wiem o tém.

— Pan wiesz?

— Tak.

— Skąd-że?...

— Odgadłem to — jeszcze wtedy, gdy miałem zaszczyt widzieć pana w domu Emilji raz pierwszy.

— Tém lepiéj — zależy mi bowiem wiele na tém abyś pan był przekonany że miłość moja dla téj kobiéty jest szczérą i nieograniczoną.

— Jakąż korzyść może przynieść panu moje przekonanie w tym przedmiocie?...

— Zupełną — gdyż przychodzę prosić pana abyś raczył oddać mi Emilję...

— Ja! lecz panie skądże pewność że do mnie należy rozrządzać jéj ręką?

— Ona sama powiedziała mi to wczoraj.

— Ona!

— Tak — kiedy wynurzając jéj moje uczucia, postrzegłem że miłość jaką ona ma dla pana, stanowi jedyną przeszkodę do spełnienia mych chęci — powiedziałem jéj, że pan nie kochasz jéj ...

— I cóż?

— Odpowiedziała — że wie o tém.

— Ona tak powiedziała — I smutny uśmiech przebiegł po ustach Władysława.

— Tak — lecz dodała: „wiem z pewnością że mimo to, Władysław nie opuści mnie zupełnie. — On odbierając mi siebie ukaże za to drogę jaką postępować mam w przyszłości — a spełni się jego wola.

— Więc — cóż pan chcesz abym uczynił?

— Posłuchaj pan — nakłoń Emilję aby oddała mi swoją rękę a ja przekonam pana Walerego, że jego żona jest niewinną dam mu niezaprzeczone dowody... pójmujesz pan?...

. — To jest mam panu sprzedać tę kobiétę... ma ona zostać ofiarą za pomyślność drugich...

— Nie, nie panie, nie sądź tak — słuchaj! Niema koloru, nie ma wyrazu, by oddać, by wysłowić uczucie jakie ja mam dla Emilji! zdaje się że cała moja istota rośnie! pod wpływem téj miłości — ja... czy wierzysz? ja zaczynam znać szacunek dla siebie, bo moje serce jeszcze zdołało ukochać taką kobiétę jak ona! A życie jéj ze mną... nie będzie ofiarą męczeństwa... bo ja czuję że nadejdzie czas szlachetnéj dumy dla mego serca! że przyjdzie chwila gdy Emilja podziękuje Bogu za życie swoje.. które on w moje ręce powierzył. — Oh! bo nie wiesz panie, co to jest miłość takiego człowieka jakim ja jestem— nie pojmujesz, jaka to uroczystość święta, wspaniała! ogarnia serce, gdy ono obmywa się z brudów życia w czystym zdroju miłości!...

— O, i ja wierzę że miłość może zbawić człowieka — wierzę, że tylko przez nią podnieść się może upadły... wprawdzie, to uczucie aby uszacniło zupełnie, aby oczyściło całą istotę czło-

wieka... powinno być wyżéj, bezinteresowniéj skierowane... lecz to zależy od stopnia do jakiego serce wznieść się zdoła — a i najniższy nawet już ręczy za wiele! Dla tego... chciałbym ufać wyrazom pana, tylko jedna rzecz rodzi we mnie wątpliwość....

— Jakaż?

— Podług mnie — kto kocha, czyje serce ojaśnia to pogodne, tkliwe uczucie... ten nie targuje się z losem ni ludźmi wtedy, gdy idzie o spełnienie czynu prawego — ten oddaje wszystko wspaniale by ubogacić godnością swoją istotę... by uczynić ją godniejszą do przyjęcia namaszczeń miłości... A pan?... przebacz mi, chcesz sprzedać czyn który nakazuje ci obowiązek... honor...

— Lecz na Boga! powiedz mi, mogęż uczynić inaczéj? Czyliż inną drogą zdołam pozyskać tę kobietę, co stała się konieczną i jedyną drogą do szczęścia!... O, żądaj odemnie wszystkiego — bogactwa moje oddam tobie... lecz daj mi Emilję i nadzieję że moja miłość, choć po wieloletnich trudach i poświęceniach, zrodzi w jéj sercu współczucie dla mnie...

— Pomyślałem o tém — gdyż w przeciwnym razie nie powiedziałbym *że mam wątpliwość*, lecz *jestem pewny* że nie kochasz Emilji.— Słuchaj mnie pan... Bóg dał mi władzę odgadywania tajemnic serca z twarzy człowieka — czytam w twojéj że powiedziałeś prawdę i dla tego ufam ci; bezwarunkowo oddam pod twoją opiekę życie téj istoty wzniosłéj i pięknéj, dla któréj serce moje najtkliwszą przyjaźń czuje... i mam wiarę że zbudzona cnota w twéj duszy wskaże ci drogę twoich obowiązków... Pomnij, że daję ci szczęście życia... lecz tylko jako *dług honorowy*, który powinieneś oddać cierpiącym braciom twoim — Los postawił cię w możności... nie próżną teorją lecz czynami ogłaszać zarody miłości bliźniego.— Pomnij, że każda łza, którą otrzesz z oczu nieszczęśliwego, zgładzi zarazem i tę którą wycisnąłeś występkiem w ciągu przeszłości twego życia — bo to nie prawda! Aby dusza raz skalana nie mogła odnaleźć się aniołem, bo wszakże Syn Boży wyrzekł: „Ufaj, a odpuszczone są nieprawości twoje Kto uczyni spowiedź ducha, kto żałuje zmarnowanych dni życia — i przyjąwszy Boga w serce chce czynami natchnionemi przez Niego zagładzić występną przeszłość, ten zacniejszy od in-

nych! — Bo tylko wielka dusza zdoła powstać o własnej sile, pójść drogą obowiązku i podeptać niebezpieczne nałogi występku...

— O, dzięki ci! dzięki za twoją wspaniałość.— Wyrazy twoje jak rosa padają na zwiędłą duszę moją. — Słuchaj — ja nie jestem cnotliwym, ja jeszcze nie otrząsnąłem się z chęci występnych, lecz mam już pojęcie o życiu duszy... mam wiarę w Bogu, który stwarza tak szlachetne jak ty istoty — i dla tego, ufam tobie bez granic... nie nakładam żadnych warunków — uczynię wszystko co zechcesz, bo wiem że nie dopuścisz abym wątpił znowu o dobroci Boga, aby rozpacz zawiedzionego serca jako rdza strawiła odradzający się blask jego...

Władysław milczał — zdawało się że serce jego utłacza jakiś ciężar okropny, że piersiom jego braknie powietrza.... Straszna — bo ostatnia walka poświęcenia, z żądzą szczęścia toczyła się w jego duszy— śmiertelna bladość okryła lica—potarł dłonią spotniałe czoło — i... dzielny ten umysł, odzyskał siłę ducha zwątloną w okropnej walce.

— To dobrze, wyrzekł po chwili smutnym lecz spokojnym głosem — Jutro, będziesz pan miał przyrzeczenie Emilji... lecz staraj się także

by skończyło się prześladowanie nieszczęśliwej Marji...

— Jutro — przysięgam panu! Jutro Walery będzie przekonany o niewinności swej żony.

— Dziękuję panu — dziękuję... teraz zostaw mnie... Przebacz panie hrabio, lecz czuję się... znużonym... prócz tego chcę pomyśleć o Emilji... gdyż może za nadto władzy przyznajesz mi pan nad wolą tej kobiety...

— Więc... żegnam pana...

— Do widzenia — i Władysław podał Alfonsowi rękę.

— Nie, nie... Jutro!... dziś, nie jestem jeszcze godnym uścisnąć twoją rękę... Żegnam pana...

. . . .

Władysław pozostał sam — Blady uśmiech, jak blask zimowego słońca ojaśnił smutne rysy jego — Położył rękę na sercu... „przestań bić... przestań!... wyrzekł cicho — tobie nie wolno czuć pojedynczo... za siebie... bo siebie wydałoś na męki za szczęście bliźnich... Przez boleść twoją odrodziła się cnota w piersiach jednego człowieka... wspieraj go Synu Boży! Niech wytrwa w wierze Twojej.— I mnie... i mnie! nie opu-

szczaj w męczeńskiej walce jaką ma jeszcze odbyć słabe serce moje...

— Wziął kapelusz i wyszedł.

W kilka chwil potém przybył do domu Emilji.

---

szczaj w męczeńskiéj walce jaka ma jeszcze od-być słabe serce moje....

— Wziął kapelusz i wyszedł.

W kilka chwil potém przybył do domu Emilji.

— „Jedne nam smutki na serca padły
I jeden ciężar piersi ugniatał;
Razem nam życia farby pobladły,
A los, cierniowe wieńce uplatał.“

J. B....

Ona przedemną do lesistych zacisz
Weszła — a arfy śpiewały wiatrzane:
„Dobrze ją poznaj, bo wkrótce utracisz
Jak sny przez dobre duchy malowane;
Żywot — tysiącem żywotów zapłacisz!
A zawsze jedną tę serdeczną ranę
Przyciśniesz w piersi rękami obiema
Tę jedną smętną ranę — że Jéj niema!

J. S.

. . . .

— Ty... płaczesz... Emiljo!

Dziewica nieodpowiedziała — tylko ciche łkania przekonywały że sercem jéj okropna burza pomiata.

— Zrozumiej mnie szlachetna, nieszczęśliwa istoto... W małżeństwie z Alfonsem... ja wskazałem ci drogę na jakiéj twoja dusza rozwinąć się może... Wierz Emiljo! że tylko poświęcenie jest *czynem* wyższego ducha, przez poświęcenia tylko dopracować się może duch twój stanu Bożego—bo wszakże i syn Boży jest wzniosłym tryumfem poświęcenia... Na téj tylko drodze szlachetne serce twoje bez wyrzutu, oddychać będzie właściwém sobie powietrzem...

— Oh, nie mów tak .... nie mów, zawołała Emilja... Ty nie możesz ocenić stanu mego serca bo ty nie kochasz. .. bo ty mnie nie znasz. Powiedziałam już tobie dawniéj *nie znasz* mnie Władysławie... teraz, kiedy już straciłam wszystkie nadzieje mego serca... teraz... odbierz i ten kwiat co miał być *wspomnieniem nadziei*... Prawdę mówiłeś że on zwiędnie... lecz z nim zwiędło i życie moje... Odbierz go...

I Emilja podała Władysławowi zwiędły narcyz, który na maskaradzie odaliska odjęła z jego piersi.

Młodzieniec mocno wzruszony wziął kwiat podany...

— Więc to ty byłaś?... o mój Boże!... prawda... lecz mówiłaś że nie znam ciebie?

— O tak bo ty *nie znasz* mnie, nie!

— Mylisz się Emiljo... słuchaj mnie — ty sądzisz że serce moje skamieniało na głos osobistego szczęścia... sądzisz że moje usta, spokojnie i bez bólu wymawiają wyrazy poświęcenia... dowiedz się więc Emiljo... że ja kocham ciebie!... że miłość dla ciebie, mój ubóstwiony aniele, jedyna siostro samotnego serca! nie raz ogromem swéj siły pokonywa całą wolę mego ducha, całą potęgę mego rozumu... ja czuje żem bliski upad-

ku... i tylko ramie Boga podnosi mnie znowu... To nie moje siły utrzymują mnie w téj walce... bo ja... oh, Emiljo! Ja często pragnę rzucić się do nóg twoich!... pragnę usłyszyć bicie serca twego, całować twoje anielskie czoło — oczy twoje... Emiljo! litości!...

— Władysławie, Władysławie! mów do mnie! mów głosem twojego serca a Bóg nam niebo otworzy... Niech przepadnie wszystko co około nas istnieje!... Moją wiarą, mojém życiem niech będzie tylko miłość twoja... Władysławie... do mnie! Ty nie wiesz jak drogo jesteś kupiony lecz przysięgam tobie że cały skąpałbyś się we łzach moich, dla ciebie wylanych... I piękna uniesieniem, wzniosła miłością dziewica wyciągnęła ręce do Władysława... piersi jéj wznosiły się gwałtownie a wilgotne, duże oczy jaśniały wyrazem nadludzkiéj roskoszy!...

— Władysław uczuł jak krew oblała mu lica... jak oczy zaszły gęstą łez pomroką... zachwiał się... postąpił kilka kroków ku Emilji... lecz... znowu cofnął się... i chwiejące ciało oparł o ścianę.

— Litości — Emiljo!... litości, zaczął drżącym od wzruszenia głosem... lecz... my nie możem należeć do siebie po ziemsku... Powiedziałaś mi

że nie znam ciebie... lecz omyliłaś się... bo ja sądzę cię być tak wzniosłą, że teraz nawet gdy wiesz że kocham ciebie... teraz wymagam, abyś kosztem bólu twojego serca wyrwała z objęć rospaczy tę nieszczęśliwą kobiétę — Marję... która cierpi niewinnie z szlachetném poddaniem się Bogu — która wkrótce ma zostać matką! matką sieroty! — abyś oszczędziła stojącego nad przepaścią występku jéj męża, — abyś nakoniec stworzyła cnotę w sercu człowieka, któremu życie masz oddać, a z pomocą znakomitych środków jakie ten związek złoży w twoje ręce wspierała nieszczęście niezasłużone. — Emiljo, to szlachetna i wysoka przyszłość... przyjmij ją odemnie... Wierz mi, siostro moja, że dla takich serc jak nasze zwyczajne szczęście, nie jest treścią tego wyrazu, dla nas tylko poświęcenie jest szczęściem! Wszystko inne, nawet miłość nasza, rozczarowana upojeniem i drobnostkami życia, zmieniłaby się w przesyt, na którego łonie rodziłoby się zniechęcenie i brak wiary w czystość i wielkość ducha — Emiljo! przyjmij to życie obowiązku. — Siostro moja!... rozłączeni tu, spotkamy się jeszcze — Bóg tchnął harmonję w swoje twory olbrzymie, a w téj harmonji zgodny ton spotka się z bratnim tonem...

i co wielkie i prawe musi zjednoczyć się z sobą! Przez to poświęcenie my odradzamy się już w tem życiu. — Nowa jasność którą przystroim nasze czoła czyste, jest nową suknią naszego ducha.— My słabi... umieramy w téj chwili a odrodzamy się czyści i wzniośli! — Emiljo, przyjmij to życie... twój brat w imie twojego i swojego szczęścia, w imie Boga błaga cię o to!

— Emilja blada ale spokojna, ze wzniosłą, świętą rezygnacją zbliżyła się do Władysława.

— A więc mój bracie, rozkaż mi to uczynić i błogosław mi na téj drodze — gdyż ja... ja sama... nie mam siły... Rozkaż.

— I uklękła przy nogach Władysława.

— Boże, oświeć mnie jeżeli się mylę rzekł młodzieniec podnosząc w górę łzami zalane oczy — a potém rzekł zwolna i uroczyście kładąc dłonie na głowę Emilji: „Rozkazuję ci spełnić twój obowiązek i niech Duch Boży wspiera nas oboje.

Emilja powstała — łez nie było w jéj oczach tylko lica powlekły się mgłą jakąś...

— Lecz ty, ty wzniosły męczenniku — ty... samotny... opuszczony, cóż poczniesz — co czynić będziesz?

Oh, rzekł, usiłując uśmiechnąć się Władysław.— Ja żyć będę szczęśliwy póty aż... aż zginę cząstką w trudów arcydziele — aż skonam zwrotką w poświęcenia hymnie.

— Żegnam cię moja siostro!... Uwiadomię Alfonsa... że przyjmujesz jego ofiarę... Ja sam powiem mu to... a teraz... podaj mi twoje czoło... Bądź zdrowa!...

— W ciemnym pokoju — którego okna zakrywały żaluzie i aksamitne firanki — na miękkiem puchowém łożu spoczywał pan Fühl. — Na sinéj jego twarzy już śmierć zdawała się ryć swoje piętno — oczy tylko nie straciły przerażającego i jakby gorączkowego ognia jaki je zwykle ożywiał. — Nakryty był kołdrą z jedwabiu żółtawego koloru co bardziéj jeszcze chorowity odcień rzucał na twarz cierpiącą.

Fühl od czasu otrzymanéj rany nie powstał jeszcze z łóżka.

W głowach, na wielkiém Wolterowskiém krześle siedział znany już, obecny przy pojedynku lekarz hrabiego — i drzymał.

Fühl patrzył na doktora z wyrazem surowym i niecierpliwym i rzekł wysilonym skrzypiącym głosem:

— Doktorze!

— Co pan hrabia rozkaże — rzekł obudzony z lekkiego snu doktor.

— Powiedziałeś że muszę umierać.

— Pan hrabia żądałeś koniecznie wiedzieć prawdę... powiedziałem więc... lecz... należy ufać miłosierdziu Boga...

— Głupiec pan jesteś — ja nie pragnę żadnego cudu... Powiedz mi jak długo jeszcze żyć będę?... tylko nie kłam...

— O ile mogę przewidzić... pan hrabia dzisiejszéj nocy skona — rzekł lekarz z przerażającą flegmą.

— To nazywa się mówić jak człowiek rozsądny. — Dowiedz się doktorze, czy hrabia Alfons już przybył.

— W téj chwili — i czeka na wezwanie pana...

— To dobrze... przysuń mi te papiery a teraz racz go przywołać i... zostaw nas samych...

— Doktor oddalił się.

Po kilku minutach wszedł Alfons a za nim postępowali Władysław i Wałery. — Kamerdyner Fühla wskazał tym ostatnim miejsce za parawanem zkąd niewidzialni od chorego, mogli słyszyć wszystko i widzieć wszystko.

Władysław i Walery zatrzymali się na wskazaném sobie miejscu — Alfons postąpił na środek pokoju... Kamerdyner oddalił się...

Walery był blady jak trup — nogi zdawały się chwiać pod nim. — Okropne cierpienie moralne, znękało zupełnie młodego malarza... Teraz, w twarzy jego malowała się gorączkowa, trawiąca niecierpliwość.

Zbliż się pan — panie Alfonsie rzekł tym samym skrzypiącym? głosem Fühl, bądź łaskaw usiądź,.. mam pomówić z tobą... i dla tego... fatygowałem cię.

— Jakże zdrowie pańskie?

— Umieram kochany hrabio — umieram i to dziś jeszcze.

— Czy podobna? Pan żartujesz...

— Nie udawaj zdziwionego... zapewnie wiesz od doktora równie dobrze jak ja że dzisiejszej nocy skonać muszę...

— Honorem panu ręczę, że do dziś nie wiedziałem o niebezpiecznym stanie zdrowia pańskiego.

— Mniejsza o to... mam ci powiedzieć panie Alfonsie... że w tym testamencie który widzisz

oto tu... między papierami... jest to kopja... oryginał złożony u... jakże tu zowią?... u... Rejenta... otóż... w tym testamencie zrobiłem ciebie jedynym spadkobiercą mego ogromnego majątku.

— Mnie? zawołał zdziwiony Alfons.

— Tak jest — i nie powinieneś dziwić się temu... Wiedząc że umrę... namyślałem się co począć z tylą złota... chciałem, by zawsze używane było w ten sposób w jaki ja używałem je... Postanowiłem przeto wyszukać kogoś podlejszego i występniejszego od innych i temu oddać w ręce środki szkodzenia ludziom... aby zastąpił mnie na ziemi... dla tego mój wybór padł na ciebie...

Alfons porwał się z krzesła — błyskawica gniewu zaświeciła na jego twarzy — przystąpił do łoża Fühla i groźnie rzekł:

Ty, chcesz mnie znieważać, ty, nikczemny morderco... strzeż się!

— Dość téj tragedji, rzekł znowu Fühl, nie lubię tego... znamy się od dawna, i sądzę że mimo chwilowego uniesienia raczysz przyjąć mój majątek?... jakże?...

Alfons oburzony... chciał odpowiedzieć, lecz wtem jakby natchniony nową myślą rzekł spokojnie:

— Przyjmuję.

— To dobrze — teraz jestem spokojny,—słuchaj — każesz mnie pochować bez wszelkich ozdób... trumna ma być żelazna — ale... i każesz mnie balsamować, a nadewszystko niech wyjmą serce z ciała — bo na honor, ciekawa rzecz czy w organizmie moim było też i serce... a potém jak się zobaczymy na balu u Lucypera... powiesz mi czy miałem serce...

— Pan hrabia... będzie zadowolniony... wynagradzasz mnie tak wspaniale!... Sądzę jednak co do serca, że masz go pan—to pokazuje jego namiętna miłość dla Marji...

— Ha! ha! to była tylko namiętność zwierza... Teraz, gdy już umieram, jeszcze ogarnia mnie żal, rozpacz! żę nie mogłem zadowolnić téj jednéj żądzy w ciągu życia mego...

— Jako, więc pan nie dopiąłeś swego celu wtedy...

— Nie wiesz?... prawda... nie mówiłem tego— gdyż chcę aby ten malarz był przekonanym że ona już należała do mnie. — To... przekonanie

zamie niw piekło ich życie... Lecz istotnie... przeklęty napad paroxyzmu choroby... porwał mnie, skorom tylko ustami dotknął jéj śnieżnego ramienia i pozbawił mnie téj tak długo oczekiwanéj i tak drogo kupionéj roskoszy. — Oh! to jest okropne wspomnienie... Ja, który miałem tyle złota, nie mogłem posiąść téj kobiety... bo sprzedać się nie chciała! To zatruwa mi ostatnie chwile moje... bo... zaczynam wątpić o wszechwładztwie złota... o potędze, o jedynowładztwie materji... a przyznasz że dla nas myśl o nieśmiertelności duszy przerażającą być musi... Lecz to są głupstwa... myślmy raczéj...

W téj chwili Władysław i Walery wyszli z ukrycia...

— Widzisz w tém wszystkiém rękę Boga, rzekł Władysław.

— Co to jest — zawołał Fühl przerażony widokiem swego zabójcy.

— Walery zbliżył się do łóżka.

Przebaczam ci — wyrzekł wpatrując się w przerażoną twarz Fühla. — Przebaczam ci wszystko złe jakie mi wyrządziłeś — twoje wyznanie przywróciło mi życie... więc... niech Bóg zlituje się nad tobą.

I Walery szybko wybiegł z hotelu.

Fühl chciał coś wyrzec, lecz okropne konwulsje przerwały jego mowę.—Teraz, w ciągu dni ostatnich jego słabości paroxymy napadały go za najmniejszém wzruszeniem.

— Przywołano lekarza.

— Słuchaj, rzekł Alfons ściskając rękę Władysława — schyliłem czoło przed poniżeniem, jakie ten człowiek rzucił na mnie... przyjąłem jego majątek — niech to będzie karą za cząstkę choć moich występków. — Pieniądze te... będą rozdane cierpiącym... ja będę tylko jałmużnikiem połowy... drugą, ty rozporządź... znasz więcéj odemnie nieszczęśliwych i wiesz lepiéj jak tych skarbów użyć potrzeba... Uchodźmy ztąd.

— Mnie nic przyjąć nie wolno — a *wspierać* mam z czego.

— Pan hrabia umarł, zawołał doktor przerażony.

— Umarł?...

— Tak jest.

. . . .

„I śmierć jego była występną jak życie... a biada przyszłości! jeśli ostatnia myśl jego, nie za-

pracowała *żalu za przeszłość — przekonania o zbrodni i pojęcia cnoty*. . . . .
. . . .

NB. tu kuzyn Walery — zostawił znowu pół arkusza czystego papieru i narysował okropną postać trupa leżącego na łóżku... Jest to zapewnie figura zmarłego Fühla. Potém znowu następuje kilka jeszcze kartek rękopisu . . . .

ZAKOŃCZENIE.

. . . . Tam Ją wołałem, tam na ladowiskach
Umieszczę jako kwiat zerwany w krysztale,
I przy piorunów rubinowych błyskach
Opromienioną posadzę na skalę -
A sam — z dzikiemi orły na urwiskach
Dzikszy niż burze — straszniejszy niż fale,
Gdy góry będą krwawe ognie zionąć,
Mrozom się dam zgryść—i ogniom pochłonąć.

K. D.

Dwie dziurki w nosie
I skończyło się.

„Przysłowie drobnéj szlachty."

. . . .

. . . . Marja niewinna! Marja niewinna!.. O mój Boże, przebacz mi! Więc jeszcze istnieje szczęście dla mnie na ziemi... Oh jakże chciałbym aby te konie miały skrzydła... W piersiach moich pali ogień okropny... a Władysław... powiedział mi że ona wkrótce ma zostać matką! Matką mego dziecka... Boże mój... Boże... przebacz! Ja dręczyłem tę anielską istotę... uczyniłem jéj życie męczarnią!... Oh, jakże długo... jakże długo... Ta droga jest nieskończoną. . . .

. . . .

. . . . . . Widzę jéj domek niski... Już oczy moje łzami zaćmione spoczywają na cienistéj

brzóz alei, gdzie tyle razy przesuwała się jéj postać kochana! Z jakąż roskoszą wciągam w piersi powietrze którém oddycha ona. — Te świéże wiosenne liście, te kwiaty żółte porastające bagno, wiatr lekko szumiący... wszystko! zdaje się hymnem radosnym witać mnie tutaj... przyzywać do siebie... Naturo! Jakże wzniosłą, jak piękną jesteś, gdy patrzą na ciebie oczy zwilżone łzami radości... Błogosławieństwo tobie, piękny Boży świecie!... Cześć Tobie potężny Boże za stworzone w około życie!...

. . . .

Już przybyłem — już jestem przy drzwiach jéj domu, mój Boże! Jakże serce moje gwałtownie bić zaczyna... lecz... cóż to? Drzwi zamknięte... do koła nie widać nikogo... Miałażby Marja opuścić te miejsca... lub... może wyjechała na chwilę!... Widzę zbliżającą się jakąś kobiétę, zapytam ją gdzie Marja... Okropne przeczucia!...

. . . .

Cóż to usłyszałem?... Marja umarła! umarła... wydawszy na świat dziécię, które także w kilka

chwil po niéj umarło!... Więc umarło wszystko co kochałem na ziemi?... I nigdy, nigdy! Okropny wyraz *nigdy!* Boże mój... W głowie mojéj zamiast mózgu rozpalone żelazo! I oczy moje goreją oh! ja... umieram!...

— Zbudziłem się ze snu długiego — Cóż to w około mnie jest?... Oczy moje kryje jakaś powłoka... i patrzę tak jako we śnie patrzałem... Jakieś zabawne postacie maszerują przedemną! Cha! cha! cha! To jest rzecz szczególna i... mucha... mucha! brzęczy koło méj twarzy... Złapię muchę! złapię!!... Po co mnie ciągniesz za rękę ty co znam lica twoje?... One śniły mi się wczoraj... nie... dawniéj... Gdzie jedziemy?... Jedziemy... I znowu prowadzi mnie... To kościół! Jakże smutny... Po co idziemy tutaj?... Ksiądz zaprasza mnie, bym wszedł do celi... Dobrze... lecz po co?... Ha! Boże, Boże! Iskra rozumu zabłysła we mnie. — To dom warjatów! Marja umarła... Ach!! . . . .

. . . .

. . . . Gdzież jesteś Raju mój ziemski? Gwiazdo pamięci!... po srebrnych twoich promieniach zawiedź mnie do serca mojego Arkadji... Widzę ją!—To nie pyszny gmach marmurowy... ani cyprysów postacie jak smutne grobu stra-

żniki nie otaczają alabastrowych jego kolumn.
. . . .
. . . . sinéj mgły tumany... opadają zwolna na ciągnące się... szeroko, kępiaste bagno... a środkiem alei wysadzanej w brzezinę płaczącą.... dziewczyna w czarnéj szacie jak anioł zmroku cicho przepływa. . . . .
. . . .
. . . . Gdzież jesteś cichy, smutny aniele wieczoru? Widzę ciebie! Niebieska wstążka przepasuje wysmukłe kształty twoje... Wieniec z niezapominek i leśnych goździków wonieje u twych piersi... On blednie przy błękicie twych oczu, przy purpurze ust twoich.... Witam cię! Biała liljo mojéj Arkadji ogrodów! Witam cię woniejąca różo Saronu! . . . . , ...
. . . . . śnieżne czoło twoje pochyliłaś na moje ramie... a powiew wieczorny przynosi mi do ust rozwiane pukle twoich warkoczy! . . . . . .
. . . .
. . . .
. . . . Gdzież jesteś raju mój ziemski? Gwiazdo pamięci... po smutnych twoich promieniach zawiedź mnie do nadziei moich ponurego Sarkofagu! Widzę go... Okropna cisza zalega to miejsce żałoby — Chóry dziewic bladych i ubra-

nych w biel śmiertelną z rozczesanemi na wiatr włosami przesuwają się posępnie i cichym głosem spiéwają okropny... hymn śmierci!... ...

. . . .

. . . .

. - . . . . . Gdzież jesteś smutny, cichy aniele grobu?... Biała szata owiewa mglistą postać twoję... wieniec z róż białych i nieśmiertelników otacza blade czoło twoje... Purpurowe twe usta zsiniały od zimnego śmierci pocałunku i zagasłe źrenice twoje nie odbiją już w swym błękicie pogodnego nieba lazurów!... Żegnam cię... biały kwiecie mogiły... cichy, milczący śmierci aniele żegnam cię!... Niech oczy twoje pozostaną zamknięte na wieki... Niechcę widzieć ich mrożącego spojrzenia. — W piersiach moich uśpiona zbrodnia! Niech jéj nie budzi dźwięk głosu twego... pamięć twojego cierpienia! Oh! okropność, okropność!... Zbrodnia... Życie... Szaleństwo! Szaleństwo!! . . . .

. . . .

Precz Czarny odemnie!... Boję się Ciebie... jak umarły, tak zimne masz ręce... Puść mnie Fühl! puść... I... odciągnij... oderwij! tę ogromną pchłę od mego serca... Oh! Tyle krwi mojéj wyssała... I uschło serce moje... Ból, ból okropny...

Boże, zlituj się nademną... Czarny!... Fühl! Puść, puść mnie... i... pchła... pchła mnie dusi... Serce! Okropnie... umieram. . . . .
. . . .

„*Koniec rękopisu.*"

. . . . . W kilka dni po odczytaniu rękopisu kuzyna Walerego... dowiedziałem się od lekarza klasztoru że mój biedny kuzyn umarł istotnie na słabość sercową... Przed śmiercią na chwilę odzyskał rozum i... prosił aby wszystko co pozostaje po nim oddano w moje ręce. — Podaję obecny rękopism kuzyna Walerego do druku wnosząc sprawiedliwie, że między utworami wielu innych naszych warjatów i Pamiętnik Mego Kuzyna poczesne znajdzie miejsce.

Rzekoń, dnia 16 Maja 1847 r.